Nr. 2. Warszawa, dnia 28 Grudnia 1896 r. (9 Stycznia 1897 r.) Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Rok 1896.

II.

Powstanie w Macedonii, o którem dużo krzyczano w końcu r. 1895, okazało się banką mydlaną dzienników bałkańskich i greckich. Ruszały się jakieś gromady zbrojne z zewnątrz, ale nie poruszyła się ludność. Można więc mówić tylko o rozruchach, ale i tych na jesieni r. 1896 już dostrzedz było niepodobna. Walka narodowości na obszarach macedońskich, streszczająca się w zabiegach o biskupa lub metropolitę tej lub owej narodowości, więcej znaczyła od tych walk z Turkami o niepodległość toczonych. Takie rozerwanie wewnętrzne jest siłą Turcyi. Nawet dyplomacya nie może za wiele żądać tam, gdzie nie wiadomo, czego żądać. Hat październikowy sultana z r. 1896 i na Macedonię też zlewa światłość swą dobroczynną, dotychczas przecież z promieni niewidzialnych złożoną. Dziennikarze angielscy i wiedeńscy zaproponowali rozesłanie takich właśnie delegatów-komisarzy europejskich, bez jakich i w Armenii nic dobrego stać się nie może. Jest to wiatraczek dla dzieci. Rozesłanie komisarzy byłoby rozebraniem Turcyi, a właśnie cała mądrość polega na jej utrzymaniu do chwili, w której rozbiór będzie najmniej niebezpiecznym i największe zapewni korzyści. Uspokojenie chrześcian, zaspokojenie ich żądań ma znaczenie podrzędne.

Sumarycznemu temu programatowi dyplomacya dochowywała wiary, uważała go za kanon dla siebie. Zgodziła się nań i Anglia. Sir Currie, wyparowany zupełnie ze stanowiska, na którem zachwiał się już był w r. 1895, ustąpić musiał przed p. Nelidowem, który jest dziś dziekanem dyplomacyi stambulskiej, jeżeli starszeństwo oceniać będziemy według wpływu, zamiaru i czynu. P. Salisbury, po grzmiących mowach r. 1895, w roku ubiegłym cichością swoją i potulnością przypominał nawróconego grzesznika. Już nie *Jupiter Tonnans*, ale klecha dzwoniący na nabożeństwo pokoju i szepcący pacierze jedności i zgody ze wszystkimi dla zbawienia wszystkich. Nic też nie robił, tylko jak rok długi szeptał pacierze. P. Gołuchowski w czerwcu delegacyom oznajmił, że celem mocarstw i zobowiązaniem się ich wzajemnem jest utrzymanie na półwyspie traktatu berlińskiego. Mówił prawdę, ale nikt po nim nie zaręczył, zali nie zawarto między sobą umów prześcigających traktat berliński, napoczynających już Turcyę, jeśli nie dziś zaraz, to w blizkiej przyszłości. Logika pozwala domyślać się ugody podobnej do protokółu rejchstadzkiego, który w r. 1876 poprzedził wojnę rosyjsko-turecką; logika też sama nasuwa domysł umowy między Rosyą a Francyą, w widokach daleko po za traktat berliński sięgających. Anglia musi stać odosobnioną: nie ma nic do wzięcia, wziąwszy już Egipt, a uprawnienie już teraz tego zaboru sprzeciwiałoby się interesowi potężnego mocarstwa, przewodniczącego w Stambule i sprzymierzonego z niem państwa republikanów francuskich.

Po za Wschodem na widowni międzynarodowej najbardziej uderzającym wypadkiem była podróż Najjaśniejszego Cesarza Wszech Rosyi, Mikołaja I, wraz z Najjaśniejszą Panią, na zachód Europy, od końca sierpnia do drugiej połowy października trwająca. Rozpoczęła się ona odwiedzinami w Wiedniu, ciągnęła przez obecność na manewrach wrocławskich, długi pobyt w Balmoral w Szkocyi u królowej Wiktoryi we wrześniu, przyjazd na kilka dni, w początku października, do Paryża; zakończyła się wreszcie przebywaniem w gronie rodzinnem, w letniej rezydencyi W. Książąt Hessen-Darmstadzkich. Kulminacyjnym jej punktem było odwiedzenie Paryża. Zacieśniło ono węzły dawniejsze: w Niemców zwłaszcza wbiło gwóźdź troski o przyszłość, do wyrwania niełatwy. Nowych wszakże umyślnych umów w celu dla Francyi najdroższym nie zawarto. Unikano nawet drażniącej trzeciego serdeczności; ani razu nie wymówiono wyrazu, około którego wirują niespokojne myśli niemieckie: *alliance*. Rozmawiano może o przyszłości dla Francuzów najważniejszej, mówiono wogóle o stosunkach, wypadkach i zamiarach, porozumiano się może w sprawie wschodniej; ale, o ile się zdaje, żadnej nie spisano umowy. Podróż do Anglii utrwaliła w p. Salisburym przekonanie, że najlepiej uczyni, jeśli prowadzić będzie na wschodzie Europy politykę jak najmniej angielską i wogóle, zamiast wytwarzać prądy, wytworzonym nieść się pozwoli, skoro już koniecznie pływać musi.

Wartość wielkiego wypadku miał artykuł *Hamburger Nachrichten* z d. 24 października. Ks. Bismarck, napastując tam Capriviego, wyjawił światu tajemnicę reasekuracyi politycznej na kilka lat przed wyparowaniem z kanclerstwa, prawdopodobnie wkrótce po zjeździe skierniewickim 1884 r., zapewnionej Niemcom przez umowę z Rosyą o neutralność na wypadek wojny zaczepnej, jakąby wszcząć mogli dwaj sprzymierzeńcy trójprzymierzowi. Uważając stosunek taki za najzupełniej godziwy, kanclerz bronił się i obroną swą utrzymywał w opinii Europy istny rozruch. Dnia 16 listopada sejm niemiecki był widownią interpelacyi i wyjaśnień rządowych, które stwierdziły wolę wytrwania w trójprzymierzu. W Austro-Węgrzech prześlizgnięto się po wypadku, pomimo dwukrotnych zapytań i odpowiedzi w sejmie węgierskim. Rada państwa w Wiedniu ma nad sobą w sprawach po-

lityki zagranicznej delegacye i monopol ich szanuje lepiej, niż Węgrzy.

We Francyi najważniejszą sprawą wewnętrzną był upadek (w końcu kwietnia) gabinetu radykalno-republikańskiego p. Bourgeois i wejście oportunistycznego Méline'a. Na Madagaskarze powstanie narodowe okrutnie uśmierzał, począwszy od października, gen. Galliani. Trwa ono jeszcze, choć już słabo, na wygaśnięcie skazane. Na Kubie d. 9 grudnia poległ Maceo, dzielny przewódca powstania, które stłumić, po Camposie, miał Weyler, ale niestłumione, ciągle płonące, zostawi wkrótce swemu następcy. Stany Zjednoczone Ameryki północnej przez usta Clevelanda ofiarowały Hiszpanii pośrednictwo. Senatorowie dopominają się uznania Kuby i nawet wysłania wojska. Hiszpania chroni się pod skrzydła mocarstw europejskich. Wybrany w listopadzie na prezydenta od r. 1897 do 1901 Mc Kinley, słynny prohibicyonista, dostanie cały wór orzechów kubańskich do zgryzienia; ale wojny o Kubę nie będzie, jak nie było jej o Wenezuellę, pomimo ziejącego już wojną orędzia Clevelanda z d. 17 grudnia 1895 r.

W Bułgaryi, w lutym, ks. Ferdynand wprowadził syna swego Borysa do społeczności wyznania prawosławnego. W zamian otrzymał uznanie jako książę panujący.

Tydzień polityczny. Nic dotychczas nie wiadomo, jak sułtan przyjął memoryał ambasadorów, wytykający słabe strony zarządu państwowego w Turcyi, oraz propozycye, dotyczące „uzdrowienia" skarbowości tureckiej. Ponieważ telegraf sułtański niczem się nie przechwala, najniezawodniejszą więc będzie niewiara w jakiekolwiek dodatnie, twórcze postanowienie, w jasne poznanie potrzeby i uczciwą wolę uczynienia czegokolwiek. Jaką być może pod dzisiejszym sułtanem terapia ciężką niemocą złożonej skarbowości tureckiej, widać już z tego, że właśnie teraz rząd sułtański sfałszował budżet na rok przyszły, a sfałszował tak ohydnie, iż jeden z urzędników wyższych ministeryum skarbu, Europejczyk Bertram-effendi, nie chce być jako podsekretarz, czyli vice-minister, wspólnikiem oszustwa i żąda dymisyi. Rdza zresztą coraz głębiej żre turectwo urzędowe i nieurzędowe, przez nieuczciwy rząd wciąż zniepraWiane. Staroturcy opierają się wszelkiej naprawie, któraby tylko przez wprowadzenie wolności i prawa równego dla wszystkich urzeczywistnić się dała. Wsteczniotwo opiera się na koranie i sułtanie, koran na wstecznictwie, sułtan na swoim mieczu — z drewna, pomalowanym na stal i zamieniającym starego rozpustnika na dziecko nieupatrujące ani niebezpieczeństwa, ani ratunku. Nietykalność władzy, wielkość jej papierowa — to wszystko, co ten nieszczęsny sułtan rozumie. Wypędza ze Stambułu Ormian, wypędza Softów, wypędza podejrzanych o młodoturectwo, ściga spiskowców nawet w Kairze — i zabawia się tak w śmierć polityczną Turcyi, z coraz większym animuszem. Katastrofa przyjść musi, pod tą lub ową postacią, bo po nagromadzeniu się całej góry przyczyn, skutek jest już naturalną tylko koniecznością.

Stosunki pomiędzy Stanami Zjednoczonemi a Hiszpanią, pomimo odroczenia rozpraw w senacie waszyngtońskim nad wnioskami Morgana-Camerona i innemi, tak się zaogniły, że dyplomacya już musi na nie dmuchać, aby zażegnać nieprzyjaźń. Po świętach, gdy senat usta otworzy, namiętność wzrośnie, zwłaszcza jeśli major Cirujeda, odniósłszy już w samym końcu roku drugie z rzędu zwycięztwo swoje nad powstańcami, odniesie jeszcze i trzecie, a telegraf zaatlantycki potwierdzi wiadomość o tryumfie już walnym, którego ofiarą paść miało 1,000 z górą powstańców. Dopóki powstanie trwa, spodziewać się można, jeśli nie wojowniczości, to przynajmniej czupurności Amerykanów. Apetyt na Kubę mają oni stały. Objawiali go już przed doktryną Monroego. Była chwila, że Hiszpania chciała swą perłę Jonatanowi sprzedać. Szkoda, bo i perła i cywilizacya na takiej zamianie władztwa politycznego na pieniądze źleby nie wyszły. Z Weylera nie są w Madrycie zadowoleni. Odnosi on, jak na teraz, zwycięztwa, ale w gospodarce jego skarbowej dostrzeżono grube nieporządki. Zwycięztwa przeminą, a nadużycia zostaną. Generałowie hiszpańscy byli dotychczas tak niedołężni, że na wojnie obecnej lepsze interesa chyba zrobili ich worek, niż ich sława.

Sejmy przedlitawskie, zwołane d. 28 z. m., w trzy dni później już zażywały miłych noworocznych wczasów. Sejm galicyjski odrzucił propozycyę włościanina Bernadzikowskiego, aby wysłać adres do cesarza; rezolucye, zabezpieczające swobodę słowa, zgromadzeń i wyborów, odesłał do komisyi; uchwalił wreszcie tymczasową, kwartalną ratę budżetu.

Nowy gabinet Zimicza jest w połowie radykalnym, w połowie bezbarwnym. Ministrem wojskowości został ongi guwerner króla — Miskowicz, ministrem skarbu — Wuicz, dawniejszy już minister, ministrem spraw wewnętrznych — Dżordżewicz, zaufany króla. Najradykalniejszym jest Welimirowicz minister robót publicznych. Sprawy zagraniczne objął sam Zimicz.

Rhodes objeżdża kolonie południowe w Afryce z ewangelią panowania angielskiego na całem południu czarnego lądu. Wywołuje tem naturalne wrzenie w Transwalu. Przyszłe Jamesony znajdują zachętę.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PORADA PRAWNA.

Na wyzysk ludu miejskiego i wiejskiego przez pokątnych doradców niejednokrotnie już u nas narzekano za pośrednictwem prasy, a korespondenci podali tyle faktów jaskrawych, że gdyby je można było zgromadzić, mielibyśmy ohydny obraz rozboju i łupieztwa w całym kraju, popełnianych zupełnie bezkarnie. Dla przeciwdziałania złemu w życiu praktycznem zrobiono dotąd niewiele; w Warszawie powstało biuro obrońców, mające na celu porady prawne, udzielane ludności ubogiej i ciemnej; ale taka jedna instytucya na cały kraj przynosi ulgi prawie niedostrzegalne — tylko dla niewielkiej garstki wyzyskiwanych. Wszystkie zaś wsie, miasteczka i osady drobne dotąd są opasane armią pokątnych doradców, szerzących takie zniszczenie materyalne, jak felczerzy i znachorzy w zdrowiu ludu, a co najgorsza, cieszących się większym wpływem i zaufaniem, niż lekarze lub obrońcy patentowani, z ukształceniem uniwersyteckiem.

---

2) NAPOLEON ROUBA.

TRYPTYK.

Trunek wypity rozmarzał starca a młodego robił śmielszym i rozmowniejszym. Już kilka razy zwracał się do Józi z jakiemś pytaniem, lecz dziewczyna nie rozchmurzyła czoła i odpowiadała niechętnie, choć tytułował ją panienką.

Chłop atoli czuł się zupełnie zadowolonym: w przystępie wspaniałomyślności wziął ze stołu ostatnią bułkę i niedogryziony ogonek śledzia i dał to pastuszkowi.

— Na, masz, i ty sprobuj naszego jedzenia.

Pan Dominik, szlachcic, syknął zrazu na takie zestawienie wspólności jadła z tym chłopcem z wioski za rzeczką, lecz wnet zapomniał o urazie w potoku własnego opowiadania, którem bawił gościa.

— Ho, ho! — mówił stopniowo się zapalając — marszałkowicz popamięta szlachcica i nie zje go w kaszy, bo już tej jesieni skończy się nasze prawowanie, a zaścianek musi być moim. Nie po tom tu siedział już lat piętnaście z okładem, abym dziś nowy kontrakt zawierał, czyli bicz kręcił na siebie. Siedzę, siedzieć będę i basta! Za mną dawność, za mną prawo, więc kpię sobie z pana plenipotenta! Ja taki sam szlachcic, jak marszałkowicz, a może i lepszy; więc jakież prawo może pozwolić, aby mi wydarto ten zaścianek, kiedy on ma kilkanaście folwarków?

— To rzecz pewna — potwierdzał Teodor, z wstrętnym, nacechowanym chytrością uśmiechem, którego atoli nie dostrzegł rozgorączkowany szlachcic, dalej ciągnąc swoją rozprawę.

— Ja także znam prawo i umiem się bronić, więc pójdę nawet do Senatu ze skargą. Wielem już stracił, stracę jeszcze, stracę wszystko, a na swojem postawię!

Biegał już przytem wzburzony po izbie, wymachując jedyną ręką.

— Janie!—zwrócił się do syna po chwili — trzeba, abyś jutro wiśnioche i dwa byczki odprowadził Mendlowi; mam z nim rachunki i potrzebuję na adwokata.

— Znowu?

Tym jednym okrzykiem skrytego bolu odpowiedział syn, napozór zachowując zupełny spokój.

— Znowu, znowu! — krzyknął w najwyższem oburzeniu starzec, przyskakując do syna — a tobie, durniu, co do tego? Słuchać i basta!

— Może i do tego, skoro ta krowa i byczek to już reszta naszego funduszu, który w połowie do naszej matki należał — ujęła się siostra za brata, śmiało patrząc ojcu w oczy.

Pan Dominik z furyą zaczął potrząsać jedyną pięścią nad dziećmi, lecz to jeszcze bardziej uzuchwaliło dziewczynę, gotową do gwałtownego wybuchu.

Brat łagodnie ujął ją wpół i odprowadził od stołu w przeciwny kąt izby.

— Taką mam pociechę z dzieci! — biadał pan Dominik, szukając współczucia u Teodora, który bezmyślnie łypał oczyma.

Głos starca stopniowo coraz silniej zdradzał strunę rzewności, wywołanej trunkiem.

Wtedy chłop powstał z miejsca, szturchańcem obudził pastuszka drzemiącego pod piecem i wyprowadził go przed chatę.

W mroku wieczornym błyszczały daleko liczne i drobne światełka z okienek chat w wiosce.

Teodor podał wyrostkowi butelkę i kilka miedziaków.

— Biegnij, a żywo do Mendla, niech da jeszcze kwartę i parę śledzi!

Chłopiec pomknął z miejsca i zginął wnet z oczu Teodora, który stał jeszcze chwilę, szepcąc do siebie:

— Niech tam będzie jeszcze jedna kwarta, choć z dziewczyną pewnie interesu nie będzie żadnego, ale co do zaścianka, ten dostanę na całe lat dwanaście. Trzeba, żeby stary się upił, a pan łowczy był zadowolony.

Kiedy pastuszek wrócił z nową butelką, Teodor już sam przystąpił do traktamentu, natarczywie domagając się udziału Jana i Józi. Lecz wszelkie zabiegi jego pozostały stracone i musiał się zadowolić towarzystwem pana Dominika, z którym raczyli się dalej, przeplatając biesiadę poufnem opowiadaniem.

Jan zaś do miski z resztkami zacierek

To panowanie ciemnoty i oszustwa nad wiedzą i rozumną poradą da się między innemi wytłómaczyć nieprzystępnością fachowej pomocy inteligencyi, brakiem zdolności ocenienia charakteru, przesądów, nawyknień i potrzeb ludu. Chłopa lub rzemieślnika przeraża zamożna, lepsza dzielnica miasta i mieszkanie wykwintne „pana adwokata,“ jego lekceważenie ubogich interesantów. Wolą więc iść do „swojego,“ który przebiegłością, udaną życzliwością i prostotą obejścia potrafi łatwo pozyskać klienta i wyłudzić za bezskuteczną a nawet szkodliwą poradę znacznie więcej, niż zażądałby adwokat rzeczywisty.

Wychowańcy wydziału prawnego, którzy, niestety, z natury samego fachu dają prędzej niż młodzież z innych fakultetów, opanować żądzom karyery, myślą przedewszystkiem o wielkiem zbiorowisku ludzkiem, o stworzeniu sobie kancelaryi i salonów za pomocą... posagu. Jeżeli zaś stoi temu na przeszkodzie brak środków, już wolą działalność urzędniczą, w której wysuszają do dna źródło swych ideałów, pielęgnowanych na ławie uniwersyteckiej. W ich duszach oschłych nie wyrośnie żadne źdźbło potrzeb społecznych. To są wszystko ludzie, od których nie można wymagać ofiary chociażby z odrobiny karyerowiczowstwa, nie można żądać poświęcenia: osiadania w zapadłej wsi lub małych miasteczkach w celu uczciwej i rozumnej porady, chroniącej ludność ciemną od wyzysku tudzież wydatków niepotrzebnych. Tu należałoby wytworzyć zupełnie nowych działaczów, odpowiednio przysposobionych przez *szkoły prawne niższe i średnie*. Takich zakładów nie ma w państwie, a jednak należą one do kategoryi potrzeb najpilniejszych. Szkoły „podjurystów“ kształciłyby obrońców dla wsi i małych miasteczek, przedewszystkiem w zakresie praktycznym. Kto jest choć trochę obeznany z codziennem życiem ludu, ten zrozumie, jak ważnym czynnikiem ruiny włościan są często sprawy sądowe. Zjadają one chłopa przez długie lata powoli lecz doszczętnie, zabijają go ekonomicznie i moralnie, wytwarzają pieniactwo, waśnie, niezgody sąsiedzkie, które nawet częstokroć stają się pobudką do zbrodni. W interesie pokątnych doradców jest zaogniać niezgodę, podsycać pieniactwo, dopóki ostatni grosz jest w kalecie lub korzec żyta w śpichrzu. Dodajmy do tego dużo spraw „nieregulowanych“ i niewyjaśnionych, a dotyczących całych gromad i wsi,' mnóstwo rozporządzeń i artykułów prawnych, zaciemnionych lub mylnie wyjaśnionych przez zdzierców palestry samozwańczej, a będziemy mieli obraz tych ciągłych utrapień, które zniechęcają i rujnują chłopa, wytwarzają w nim instynkty drapieżne lub zbrodnicze.

Nie naszą rzeczą jest nakreślać program szkół dla nowych obrońców ludu wiejskiego i miejskiego. Zaznaczmy tylko, że oprócz nauki czysto praktycznej, polegającej na znajomości kodeksu, która pozwoliłaby im stawać w niższych instancyach sądowych, pożądane byłoby również wykształcenie ogólniejsze, które owym uprawnionym doradcom dałoby możność odciągania od sądu i załatwiania wielu spraw drogą polubowną, a więc kandydaci na takie stanowiska powinni być dobrze obeznani z charakterem ludu i warunkami jego bytu. Spotykaliśmy lekarzy, cieszących się śród włościan ogromnem zaufaniem dlatego, że osiedli w miejscowościach rodzinnych, dobrze znanych pod każdym względem. Pożądanem więc jest, ażeby i tak zwani „podjuryści“ o ile można osiadali w stronach rodzinnych.

Lud jest obarczony rozmaitemi powinnościami i poborami, które pochłaniają znaczną część jego skromnych dochodów; ale najpoważniejszą chyba rubryką są „honorarya,“ wypłacane pokątnym doradcom, pochłaniające nieraz całe mienia. Otóż gdyby tych oszustów wyparli tacy obrońcy, ukształceni w szkołach nowego typu, pobierający skromne wynagrodzenie za swą pracę uczciwą, w bycie ekonomicznym ludu powstałaby znaczna oszczędność, którą dałoby się zapisać w dwu rubrykach: 1) uczciwem i szybkiem załatwianiu spraw na drodze sądowej i 2) zapobieganiu procesom za pomocą prywatnego godzenia stron poważnionych. Nie jest to zadanie łatwe i jeżeli z czasem społeczeństwo nasze zdobędzie się na takich doradców i obrońców ludowych, będą oni musieli dużo energii zużyć na zwalczenie wyzyskiwaczów pokątnych; może nawet więcej, niż zużywają lekarze na walkę z felczerstwem i znachorstwem.

Oprócz takich pracowników, pożądano byłyby w miastach prowincyonalnych biura porady prawnej, na wzór warszawskiego, gdzie adwokaci, jak lekarze w lecznicach tanich, przyjmowaliby klientelę ubogą i ciemną.

Wszystko to wszakże nie byłoby jeszcze wystarczającem. Zarówno chłop, jak i rzemieślnik, szczególnie w mieście, ciągle się obraca w niebezpiecznej sieci artykułów prawnych, przepisów, rozporządzeń stałych i czasowych. Ciągle on pozostaje pod grozą możliwego przewinienia, a nie znając tych przepisów, staje się albo ofiarą wyzysku nieuczciwego ich wykonawcy, albo istotnie przekracza je, pomimo nadzwyczajnej ostrożności.

Za granicą istnieje mnóstwo poradników, w których są jasno wyłożone przepisy i obowiązki rzemieślników, robotników i wyrobników; nadto prawo karne jest popularyzowane w licznych broszurach, nadzwyczaj tanich. Tym sposobem rzesze, obeznane z prawem i przepisami,

---

dorzucił kilka kawałków chleba i wyniósł to jadło przed chatę, gdzie silnem, kilkakrotnem drapaniem do drzwi stary pies podwórzowy dawał znać o sobie.

Postawił misę na ziemi i przywołał kudłatego stróża, który z radością przypadł do misy i żarłocznie chłeptał strawę. A sam wsparty o ścianę pogrążył się w zadumę, nie próbując nawet spojrzeniem przebić otaczającej go ciemności.

W ciszy nocnej i tej zupełnej pomroce jego dusza budziła się do żalu i cichej skargi, o czem świadczyły jakby ciche, stłumione jęki, dobywające się z tej piersi olbrzyma.

Z wioski za rzeczką dolatywało jeno psów szczekanie, lecz już nie świeciły owe drobne światełka, bo je opary na łące i smuga całkiem przysłoniły. Wiatr z lasu przynosił półgłosy cichego i ponurego gwaru, który jeszcze silniej kołysał duszę Jana do smutnych rozmyślań, pojąc jakby wrażeniami przeczutej tęsknoty.

Z lipy na lipę, to na szczyt świronka, przelatywał złowróżbny puszczyk, rzucając głosy jakby szyderstwa i grozy nad tym biednym zaścianiem...

Ale na stropie niebieskim połyskiwały jasne, jak zawsze, gwiazdeczki, stale niezmienne i dla wszystkich jednakie... Jan głowę schylił w pokorze i szeptał słowa krótkiego pacierza...

Z chaty wyszła Józia i przytuliła się do brata.

— Czego chce Teodor? — zapytała półgłosem.

— Pewno nic dobrego on tu zamyśla, kiedy już dziś taki hojny dla ojca; może to umizgi do ciebie?

— Zaprzestań, Janku! — jakby oburzyła się dziewczyna.

— Ja wiem o tem, że to chyba na żarty — odparł olbrzym głosem bardzo tkliwym i przygarnął siostrę ramieniem ku sobie.

— Trzebaby nam, siostrzyczko, na swój chleb iść między ludzi; nic tu nie będzie z tego harowania bez końca i bez celu żadnego.

— O, i jak trzeba! — odpowiedziała Józia, a w jej głosie dźwięczały radość i zupełna gotowość do natychmiastowego działania.

— Tobie łatwiej, bo zostaniesz tu, wśród swoich, gdy cię weźmie Kazik, mnie zaś trzebaby do miasta, między obcych.

— I ja z tobą, Janku! Nie chcę ja Kazika, nie chcę o nim słyszeć.

— Szkoda chłopca, bo on myśli tylko o tobie i dla ciebie tak gorączkowo pracuje na tej posesyi od niedawna wziętej.

— Ja temu nie winna — szepnęła zamyślona dziewczyna.

Wrócili do chaty i poszli wnet spać, nie zważając na dobrze już pijanych biesiadników. Józia skryła się w małym, ciemnym alkierzyku, a Jan wyciągnął się na ławie, okrywszy się starą burką ojcowską.

Do snu kołysało go opowiadanie ojca, które, lubo już nieraz słyszane, budziło w nim zawsze pewne zainteresowanie.

— Przed dwudziestu pięciu laty wróciłem z tułaczki obdarty, zbiedzony i kaleka. Jedynakiem byłem u rodziców, którzy siedzieli na swojej cząstce i mieli dwóch poddanych, oto takich, jak ty, chłopów — i przy tych słowach pan Dominik zatrzymał się, z dumą spoglądając na współbiesiadnika.

Teodor tylko głową pokiwał i uśmiechnął się głupkowato.

— Zmarło się rodzicom wprzód, niż wróciłem. Znalazłem moją cząstkę już bez poddanych. Ty, chłop od wieków, nie możesz tego zrozumieć, co to był za ciężki i okrutny cios dla nas wszystkich! Ożeniłem się jakoś wkrótce i wziąłem jeszcze cząstkę za żoną. W trzech latach Pan Bóg mi dał syna i córkę, ale mi coraz gorzej szła gospodarka. I nie dziw, bo i nie mnie jednemu tak było. Chamy z nami, szlachtą, zrównani odtąd już nawet za pieniądze nie chcieli u nas pracować, więc było nam ciężko i coraz ciężej: zwiększone podatki i proces ze złym sąsiadem pociągnęły za sobą nieuniknione długi. Żona mi zmarła coś przed dwunastu laty i dożyła biedaczka tego, że już wtedy siedzieliśmy na posesyi u pana marszałka, który był kolegą tej mojej tułaczki. Zrazu wziąłem ten zaścianek za małe pieniądze, lecz rachowaliśmy się, jak było można; olbrzymie lasy dawały marszałkowi dostatni dochód na kosztowny i prawie stały pobyt za granicą. Ja z tą jedną zdrową ręką i tym klykciem prawie nieruchomym z polowania samego mogłem opłacać dwie

nie dadzą się w pole wyprowadzić oszustom i mogą uniknąć kar, marnowania czasu na spisywanie protokółów, wysiadywanie po sieniach i kancelaryach, zmartwienia i straty materyalne.

Dotychczas sekcya rzemieślnicza poruszyła jedną tylko kwestyę: opracowania wzoru umów, tudzież kwitów zadatkowych; sprawę zaś poradnika prawnego podniosła niedawno *Gazeta Rzemieślnicza*. Czechy co rok wydają ciągle uzupełnianą książkę — doradcę dla rękodzielników i drobnych przemysłowców. Podręcznik ten obejmuje między innemi próby listów, pisanych przez rzemieślników do klientów, wzory próśb, podawanych do różnych urzędów, najniezbędniejsze wiadomości prawne i policyjne, bez których taki pracownik kroku zrobić nie może. Drobny przedsiębiorca w razie otwierania sklepu lub warsztatu, przenoszenia ich lub zamknięcia, może się dowiedzieć z tej książki, jak ma postąpić, do kogo się udać w celu uzyskania pozwolenia, jak prośbę skreślić i zatytułować, w jakim czasie należy to uczynić, ażeby uniknąć kar. Książka ta nietylko jest poradnikiem prawno-policyjnym i handlowym dla rzemieślników i przemysłowców drobnych, lecz służy nadto jako podręcznik naukowy w szkołach, za którego pośrednictwem młodzież zawczasu obeznaje się z przepisami, napotykanymi w życiu codziennem.

My na taką książkę dotąd nie potrafiliśmy się zdobyć. Wydajemy tylko setki toastów i mówek okolicznościowych dla ludzi mało ukształconych, gdy natomiast ci sami ludzie muszą drogo płacić za podania licho klecone w tak zwanych „kantorach próśb.“ Warto, ażeby sekcya rzemieślnicza zajęła się tą sprawą gorąco i powołała do opracowania podręcznika ludzi wytrawnych, gruntownie obeznanych z przedmiotem.

LISTY Z PARYŻA.

Dwie gruźlice: lekarska i przytułek w Angicourt; społeczna i „Związek republikański ku poparciu drobnej własności.“

W departamencie Oise, niedaleko miasta Liancourt, wznosi się na stoku pagórka, panującego nad piękną doliną, duże zabudowanie. Skończono je kilka dni temu, co należy uważać za wypadek wcale nieposledni.

Jest to pierwszy (!) we Francyi szpital dla suchotników.

Nowsze badania dowiodły, że suchoty, dziesiątkujące ludność Europy, nie są nieuleczalne. Straszny ów wróg, niszczący życie ludzkie, może być bardzo często wstrzymanym w pochodzie. Niektórzy lekarze sprawdzili to na sobie. Doktor Nicaise zapadł na suchoty, będąc jeszcze dwudziestoletnim młodzieńcem; zwalczył je, stosując odpowiednią hygienę. Vibert, lekarz sądowy w Mordze paryskiej, znalazł śród 130 osób, zmarłych gwałtowną śmiercią, siedemnaście gruźlic płucnych uleczonych. Specyalista Leon Petit oświadcza w swej książce o leczeniu hygienicznem suchot, że „we wszystkich formach i wszystkich okresach“ są one do wyleczenia. Grancher posuwa się dalej. Twierdzi on, że suchoty są „najbardziej (? *Red.*) uleczalną chorobą chroniczną.“

Było tylko módz dać chorym to, czego, niestety, zbyt wielkiej ilości wśród nich brakuje: powietrza i jadła! Szpitale zwykłe dostarczają pierwszego niewiele, drugiego więcej, ale obu najczęściej wtedy, kiedy organizm jest już ruiną nie do odbudowania.

Zakrzątnięto się więc około szpitali wyłącznie suchotniczych. Mają one dawać chorym schronienie na dłużej, niż to jest możebne w szpitalu mieszanym, położenie zaś ich na wsi, wśród lasów, służy za rękojmię, że suchotnicy będą oddychali powietrzem czystem i zdrowem. Przodują w tej dążności Niemcy. W 1892 r. Towarzystwo filantropijne frankfurckie założyło pierwszy taki przytułek, przeznaczony dla trzydziestu chorych. Wynik był tak pomyślny, że postanowiono wkrótce wznieść o kilka mil od miasta sanatoryum dla osiemdziesięciu osób. Doktor Dettweiler, dusza owego zakładu, ogłosił sprawozdania jak najbardziej przekonywające o szczęśliwych skutkach leczenia hygienicznego, a we wnioskach zaznaczył, że z 90,000 ludzi, którzy umierają w Niemczech rok rocznie na suchoty, więcej niż 20,000 możnaby wyleczyć, stosując w swoim czasie odpowiednie metody.

Teraz Berlin, Brema, Lipsk, Hamburg, Drezno, Würzburg, Szczecin, Wormacya mają, albo zakładają szpitale dla suchotników. Szwajcarya liczy około dziesięciu zakładów tego rodzaju, Anglia ma ich kilka, Austrya, rozumie się, jest w tyle, ale i tam budują w okolicach Wiednia sanatoryum gruźliczne dla stu osób.

Francya, jak zawsze, podobna do kobietki zapatrzonej w swą piękność — z której, niestety, wiele wdzięków opadło—nic nie słyszała, ani nic nie widziała przy lustrze. Nareszcie z Szwajcaryi poczęły przenikać wiadomości i po kilku latach rada miejska Paryża zdecydowała się wstąpić w ślady zagranicy.

Doktor Nicaise nakreślił plan uzdrowiska, ale nim wydział Pomocy publicznej (Assistance publique) uchwalił jego przyjęcie i wprowadził pomysł w życie, twórca planu zdążył umrzeć. Dalsze kierownictwo objęła tak zwana komisya suchotnicza; kiedy już jeden pawilon był skończony, udało się jej wykołatać fundusze na drugi. W ten sposób ilość miejsc z pięćdziesięciu podniesie się do dwustu, ale też i stanowcze otwarcie przewlecze się o rok lub półtora.

Bądź co bądź nazwa Angicourt stanie się wnet popularną. We Francyi suchoty zabierają rocznie 100,000 osób — na sam Paryż wypada 15,000. Bodaj cząstka będzie uratowaną; nie podlega nadto wątpliwości, że wnet powstaną inne sanatorya gruźliczne. Chorych będzie się głównie karmić, a nawet przekarmiać; będą przebywali jak najwięcej na powietrzu, brali kąpiele i grzali się w słońcu. Doktor Nicaise liczył się i z czynnikami psychicznymi, dlatego też i budynkom szpitalnym nadał możebną wesołość i wybrał miejsce, zkąd ma się piękny widok. Czteromiesięczny pobyt tu, na wysokości pięciuset metrów, w otoczeniu pól i w sąsiedz-

---

takie posesye. Nieraz bywało, kiedy marszałek przyjechał na polowanie, jednym celnym strzałem otrzymywałem pokwitowanie z rocznej tenuty. Nie było umowy, kontraktu, ani żadnych kar. Od sześciu lat, po śmierci marszałka, plenipotent już nie może wystarczyć żądaniom marszałkowiczów i po wycięciu lasów zabrał się do nas posesorów. Urwał mi się wtedy cały dochód z polowania, a opłatę roczną podniesiono mi w trójnasób, gospodarstwo zaś w zaścianku na rękach chłopca zostawione, ledwo nam wystarczało na życie. Ha! możem i zgrzeszył!.. Przed dwoma laty usłuchałem złej rady i rozpocząłem proces, poszło już prawie wszystko, chłopiec i dziewczyna rosły i wyrosły, jak te dwa młode dębczaki na skraju lasu, nie znając ludzi i bez jakiegoś opatrzenia na przyszłość... Ale może i nie wyrzucą! — zakończył starzec głosem osłabionym.

— Hej, Teodorze! Teodorze! czy nie wyrzucą?—krzyczał po chwili głosem ochrypłym i zdławionym, ale odpowiedziało mu tylko głośne chrapanie chłopa, wspartego głową na stole i w ciężki sen pogrążonego.

— Cham, wiadomo cham i basta!—mruknął pan Dominik rozjątrzony.

Lampka, już od niejakiego czasu silnie kopcąca i skwiercząca, w tej chwili zagasła i chatę objęła ciemność, śród której słychać było chaos oddechów i sapania pięciu istot ludzkich.

Zaledwie słońce wyjrzało z za budowli wioski za rzeczką, Jan zerwał się z twardego posłania i wyszedł przed chatę, wiedziony przyzwyczajeniem wszystkich lat życia, które aż dotąd były ściśle zamknięte w ciasnym obrębie niewielkiego ziemi zakątka.

Dzień zapowiadał się świetnie, lecz tem smutniej wyglądał zaścianek, gdzie jedyne ślady życia dawał Kruczek, łaszący się do ręki pana i bydło głodne, rykiem dające znać o sobie w chlewie.

Dla Jana tak już oddawna zaczynał się i kończył dzień: stale widział dokoła siebie głód niezaspokojony, który go codzień dotkliwiej uderzał, budząc roje wyrzutów i cichych skarg.

Codzień witał to słońce wschodzące, lecz witał nie jak pracownik, który coś zamierza i cieszy się, że ma dzień pracy przed sobą, a po za tem — czeka go plon zapewniony; on myślał, rychło li koniec tego dnia będzie, lub tonął w apatyi i bezmyślności.

Wrócił do chaty, zbudził pastuszka i podczas gdy ten był zajęty okręcaniem nóg w szmaty płócienne i przymocowywaniem łapci, włożył mu w torbę spory kawał chleba i garść soli.

Wyszli obaj i wypuścili bydło z chlewa.

Jan objął oczyma kolejno każdą sztukę i z niemałą radością patrzał, jak wszystkie raźno ruszyły ku lasowi.

I to mógł uważać za szczęście, pamiętał bowiem takie wiosny, kiedy prawie po każdej nocy zostawały w domu to jedna, to dwie sztuki, które już nie miały sił podążać za innemi na paszę. Co to było męki! Trzeba je było dźwigać, przez dni kilka z ręki karmić, a nieraz już wypędzone do lasu w pół dnia koniem do domu przywozić.

Tej wiosny wszystko jakoś dobrze, najgorszy czas już minął, więc można mieć nadzieję, że za miesiąc bydło zupełnie wydobrzeje i zapłaci za starania.

Niewiele dbał Jan o to, że nie on tę zapłatę otrzyma, że ją weźmie Mendel... Aha! Mendel... a toż to jemu trzeba dziś oddać jedną krowę i dwa byczki.

Już miał zawołać na chłopca, lecz powstrzymał się.

Nagle oczy, niby senne i bezbarwne, błysnęły strasznym gniewem, stalowe członki robiły wrażenie okropnej, nieludzkiej siły, kiedy zrobił kilka gwałtownych rzutów ramionami i wykrztusił ze zdławionej gardzieli:

— Niedoczekanie wasze! Dopóki ja tu, ani jednego bydlęcia nie oddam, a potem niech się dzieje, co chce!...

Był strasznym w tej chwili ten olbrzym. Budzi się rzadko, ale może się zbudzić... dla krwi lub pożogi.

Za chwilę już był spokojny i wyciągnąwszy wody ze studni, pił ją skwapliwie, a potem umył się przy korycie, własnej koszuli używszy za ręcznik.

(D. c. n.).

twie sosnowego lasu, może być według obliczeń uważanym za wystarczający dla ocalenia niejednego życia.

Ileż objawów społecznych posiada podobieństwo z gruźlicą! W ilu działach współczesnego społeczeństwa zaatakowane są szczyty i choroba opuszcza się powoli, powoli ku podstawom płucnym!

I tak: w drobnej własności. Nie istnieje w Anglii, pełna wydrążeń gdzieindziej. Aby je zabliźnić we Francyi, grono ludzi zaniepokojonych rozkładem utworzyło „Związek republikański ku poparciu drobnej własności.“ Rośnie on szybko. Powstał w połowie marca, a teraz liczy już więcej, niż sześćdziesiąt posłów i senatorów, nie mówiąc o innych.

Kamil Sabatier, dawny poseł i autor broszury o „Związku republikańskim,“ podaje na wstępie opowiadanie z czasów swego pobytu w Algierze, p. t. „Czemu pantera jest złą?“ Było to w roku 1882 — mówi — zarządzałem wówczas mieszaną gminą kabylską Fort National. Chcąc poznać podział własności w oddanym mi obszarze, przeprowadziłem obliczenia. Okazało się, że na 36,660 sympatycznych, pracowitych i dziarskich mieszkańców gminy tylko siedemnastu nie posiadało ziemi.

Rozmawiałem właśnie z jednym z poważniejszych tubylców, Hadż - Abderamanem, gdy doniesiono mi o wyniku. Wyraziłem swoje zdziwienie. Wtedy Hadż Abderaman położył mi rękę na ramieniu i rzekł: „Cóż, panie zarządco, czy ci tego mało?“ Nie miałem czasu odpowiedzieć, bo Kabyl zagadnął dalej: „A czy wiesz, czemu pantera jest złą?“

W oczekiwaniu ładnej jakiejś paraboli, zachęciłem go gestem do odpowiedzi.

— Pantera dlatego jest złą, że nie ma ani skały, ani jaskini, ani krzaków, gdzieby mogła spać spokojnie, bez obawy sideł i kul. Wszędzie ścigana, nienawidzi ludzi, wszędzie trapiona, mści się na nich. Daj jej grotę i możność życia, a nie zaczepi człowieka.

Ty masz siedemnaście panter w swojej gminie — siedemnastu ludzi pędzonych zewsząd, niemogących nigdzie powiedzieć: „Ja tu pan,“ zazdroszczących innym, prawdziwą groźbę wszędzie. Siedemnaście panter — mało ci?“

Nie odpowiadałem nic Abderamanowi, bo co by on był pomyślał o Francyi, gdybym mu był rzekł: Cóż to siedemnaście, kiedy u nas jest ich pięć milionów!

Nauka przecie nie poszła w las. „Związek ku poparciu drobnej własności“ (Ligue républicaine pour la protection de la petite propriété) mógłby być wielce pożytecznym, jeśliby spełniał dzielnie, co sobie wyznaczył. A wyznaczył wiele.

Program, wyłuszczony w broszurze, mającej 20 stronic dużej ósemki (Cravant, [illegible]), liczy trzydzieści kilka punktów. Dadzą się one ułożyć w kilka grup.

Przedewszystkiem idzie o zachowanie istniejących jeszcze drobnych działów. Giną one co roku tysiącami z ręki prawa, grad i nieurodzaj przetrzebiają je. Związek postanowił zbadać dobrze sprawę ubezpieczeń, a następnie wprowadzić jak najszerzej sposób, który okaże się najlepszym. Co do prawa, to trzecia republika każe sobie drogo za nie płacić. Spadkobiercy w linii prostej są zmuszeni uiszczać 16%, jeśli idzie o drobną własność, [illegible] jeśli własność wielka. Spadkobiercy dalsi niszczają w pierwszym razie 30%, w drugim — 8%. Lada kołatanie do sądu kosztuje olbrzymie. Większość spraw, oddawanych sędziom pokoju na wsi, obraca się około sum mniejszych, niż 40 fr.; gdy przyjdzie koniec, koszta narosły idą na kilka setek. Te szczegóły nie bardzo korzystnie odbijają się na drobnej własności. „Związek“ oblicza ilość drobnych właścicieli, wydziedziczonych tylko z dwóch przytoczonych przyczyn, na 50,000 rocznie, będzie więc dążył do jak największego zniżenia kosztów spadkowych i sądowych.

Zarazem zmierza ku usunięciu dopędliwości władz do licytacyi spadku w razie trudności podziału. Przeciwny zasadzie majoratu, zaleca po jej odkrojeniu amerykański *homestead*, czyli nietykalność przez sąd i woźnego, nietylko narzędzi rolniczych i najkonieczniejszego dobytku, ale i pewnego obszaru ziemi.

Zwalczając niebezpieczeństwa, jakie grożą włościanom, trzeba pomagać im stanąć na nogi. Wobec współzawodnictwa wielkiej własności, nieodzownem jest dla nich zaopatrzyć się w maszyny, nawóz itp. Tylko zbiorowo może drobne włościaństwo dojść do tego. Czyli: będzie się popierało usilnie zakładanie syndykatów, związków i grup rolnych. Korzystnem jest dla włościanina usunięcie pośrednictwa między nim a spożywcą; w program więc zostały wpisane dążności do zmiany ustroju hal paryskich, do rzucenia jak najgęstszej sieci kolejowej, umożliwiającej przewóz, do ulg pocztowych dla przesyłek wiktuałów wprost ze wsi, jeśli nie przekraczają dziesięciu kilogramów. Nareszcie kwestya kredytu rolnego, która w dalszym ciągu istnienia zostanie szczegółowo opracowaną.

Byt rolnictwa związany jest z bytem państwowym. Więc reformy społeczne wogóle są dlań pożądane. Związek domaga się zaprowadzenia podatku postępowego, usunięcia niektórych haniebnych opłat, jak np. „od okien i drzwi,“ popierania rodzin liczniejszych. Zwraca się surowo przeciw giełdzie i wielkim kapitałom, żąda sprawiedliwego opodatkowania drugich, wzięcia pod nadzór policyjny pierwszej. Siedemnasty artykuł zawdzięcza swoje powstanie ostatnim procesom; według niego, kodeks karny powinien być zreformowany. Dla oszustów, jak niedawni panamiści, za mało kary więziennej — niedużej i po krótkim przeciągu czasu odpuszczanej — winni oni, prócz przykładnej pokuty, ponieść na swoim majątku stratę równą zyskom nabytym bezecnie. Sumy zwrócone w ten sposób narodowi powinny być znowu między naród rozdzielone; forma zaś podziału: nadanie bezrolnym przez państwo ziemi na własność.

„Związek,“ uznając drogę prawną za jedyny sposób przeprowadzenia swych planów, wielokrotnie zwraca się do państwa, jako opiekuna prawnego rolników. Wymaga więc odeń przeprowadzenia wielkich prac publicznych, umożliwiających podniesienie żyzności pól, nauki rolnictwa na dużą skalę. Idzie dalej. Wkłada na państwo obowiązek „zwiększania ilości drobnych właścicieli,“ czyli nadawania własności tym, którzy jej nie mają. Jeszcze przed zawiązaniem „Związku“ teraźniejsi jego członkowie, Rey i Lachièze, postawili w Izbie wniosek wyposażania z funduszów państwowych ubogiej dziatwy. „Czy wyposażanie pieniędzmi lub kawałkiem roli nie jest tem samem? Zawiązało się już kilka towarzystw prywatnych z powyższym celem: tem większa konieczność, aby Rzeczpospolita wstąpiła w ich ślady.“

Wyposażanie to powinno objąć nietylko sto tysięcy „dzieci wspomaganych“ (enfants assistés) — im poświęcono zresztą osobny paragraf — ale większe masy. Nawet włóczęgów i zbrodniarzy, jeśli mają skłonności do rolnictwa, powinno się osadzać. Fundusze, które umożliwiłyby państwu francuskiemu te reformy, są: 1) wspomniane już grzywny, nakładane na giełdowców i panamistów; 2) upaństwowienie majątków bez bliskich spadkobierców; 3) nieużytki gminne, o ile gmina je chce zbyć; 4) część lasów możnaby dać pod uprawę, biorąc się równocześnie do zalesienia gór i obszarów niepłodnych. Sposób przejścia własności państwowej w prywatną — bo do tego dąży związek — nie jest jasno określony, co do dwóch ostatnich działów, osadzony na nich proletaryusz spłacałby częściowo należność do kasy państwowej. O pierwszych zaś dwóch nic nie wiemy.

Nie wyczerpuje to jeszcze programu. „Związek“ pojmuje wieś także jako zbiorowość; wobec tego uważa za potrzebne zakładanie po wsiach towarzystw oświaty i rozrywki, szkół przygotowujących do gimnazyów — co wstrzymałoby wiele osób wykształceńszych, mających dziatwę, od wyjazdu — uniwersytetów w miastach mniejszych. Na wsi powinnoby państwo otwierać swoje zakłady, o ile nie są niezbędne miastom, na wieś winien wysyłać zarząd „Pomocy publicznej“ starców i ubogie stadła małżeńskie, przezeń wspierane.

Nie poruszyłem jeszcze kilku oddzielnych ustępów, jak np. żądanie osobnego przedstawicielstwa dla stanu rolniczego, popieranie przemysłu domowego, podnoszące go na poziom współzawodniczących fabryk, przyznanie formerowi nadwartości, uzyskanej przez ulepszenia, włożone przezeń w rolę.

Są w programie miejsca niejasne; będą one zapewne opracowane przez sekcye, na które Towarzystwo się rozpada, lub przez współpracowników pisma, które ma być przezeń wydawane. Są i braki: np. wcale nie poruszona sprawa robotników rolnych. Czy związek ku poparciu drobnej własności rozwiąże zagadnienie posiadania, działając jak najenergiczniej, trudno odpowiedzieć; może on być jednak tem, czem jest szalupa dla tonącego okrętu i uratować, jeśli nie całą załogę, to bodaj jej część.

W. Bugiel.

PAMIĘTNIK.

Prof. W Holewiński.



Jakkolwiek słynny znawca prawa cywilnego zajmował równocześnie trzy posady: był profesorem uniwersytetu, prezesem wydziału Izby sądowej warszawskiej i członkiem komisyi kodyfikacyjnej, usunięcie się jego z tych stanowisk jest przedewszystkiem wielką stratą dla uniwersytetu warszawskiego. W Izbie bowiem od lat kilkunastu wcale nie zasiadał, zadanie swoje kodyfikacyjne (opracowywał dział o „zobowiązaniach“) może już skończył, natomiast na katedrze nikt go nie zastąpi. Kodeks Napoleona, którego Holewiński był znakomitym wykładaczem i który w znacznej części obowiązuje u nas dotąd, nie posiada tylu specyalistów, co inne gałęzie prawa, obowiązujące w całem państwie; niełatwo więc znaleźć kogoś do zajęcia odpowiedniej katedry. Naturalnie trudno nawet myśleć o wyszukaniu podobnej siły umysłowej, gdyż Holewiński w swoim zakresie był powagą bardzo wysokiej miary, czego dowodzi już sam fakt powołania go do ciała, pracującego nad nowym kodeksem. W uniwersytecie zajął jego miejsce prof. Okolski, który niewątpliwie przedstawia dobrą rękojmię sumiennego spełnienia swej roli; nie wiemy wszakże, czy jest to zastępstwo stałe, czy tylko czasowe.

Jubileusz B. Prusa.

W zeszłym tygodniu wyprawiono B. Prusowi (A. Głowackiemu) owacyę literacką z powodu 25-lecia jego pracy piśmienniczej. Prywatnego aktu tej owacyi nie znamy, publiczny zaś objawił się pod postacią osobnego numeru *Kuryera Codziennego*, w którym grono znanych autorów i przyjaciół wysławiło zasługi jubilata. My naszego o nim sądu wydawać obecnie nie potrzebujemy, gdyż przed kilku

laty nakreśliliśmy w szczegółowej sylwetce główne rysy jego talentu, potem w odpowiedzi na pretensyonalny pozew—znamiona jego publicystycznego charakteru, a następnie oceniliśmy kolejno wszystkie późniejsze jego utwory. Nie mówiliśmy dotąd tylko o „Faraonie,“ którego druk niedawno ukończony został w *Tygodniku Ilustrowanym*. Czytelnikom więc naszym B. Prus w oświetleniu *Prawdy* jest dokładnie znany. Zresztą według zapowiedzi właściwa uroczystość jubileuszowa ma się odbyć w roku bieżącym.

Pszczelarz i ogrodnik.

W rzeczywistości istnieją u nas ludzie, którzy okazują pewną znajomość pszczolarstwa i ogrodnictwa, a nawet w literaturze zagranicznej wychodzą pisma, łączące obie te gałęzie pracy. Zwykle jednakże zarówno w tych ludziach, jak pismach, przewaga pada na ogrodnictwo, które wymaga więcej wiadomości, podlega szybszemu rozwojowi i ogarnia dziedzinę znacznie obszerniejszą. W pierwszym numerze świeżo wydanego *Pszczelarza i ogrodnika* ustosunkowano treść odwrotnie i zajęto się głównie pszczelnictwem. Zapewne, organ Towarzystwa, którego to jest naczelnym celem, musi odbijać w sobie naturę swej instytucyi; nie sądzimy jednak, ażeby nowemu miesięcznikowi na długo starczyło zajmującej treści, uwzględniającej głównie hodowlę pszczół. Gdy opowie czytelnikom o zwyczajach tego owadu, systemach ulów, narzędziach pasiecznych itd., wyczerpie materyał informujący i zajmujący szczupłe kółko czytelników. Tymczasem nauka i sztuka ogrodnicza jest obszarem, który dziś już ogarnąć trudno, na którym ciągle mnożą się nowe odkrycia, metody i zadania, który zresztą obejmuje daleko większy zakres interesów i liczniejsze koła ludzi. Ponieważ zaś dobrego pisma w tej specyalności nie mamy, sądzimy przeto, że *Pszczelarz i ogrodnik* powinien, a może nawet będzie musiał zamienić się wkrótce na *Ogrodnika i pszczelarza*.

Jaśnie wielmożny handel.

Już nietylko szaraczki i właściciele folwarków, ale nawet posiadacze wielkich dóbr wzięli się do przemysłu i handlu. Jeden hrabia lub książę hoduje ryby, drugi — bydło, trzeci — drzewka owocowe, czwarty wyrabia sery, piąty sprzedaje mleko itd. Nic mamy nic przeciwko tej demokratyzacyi potomków, których przodkowie gardzili „łokciem i miarką“; pozwolimy sobie tylko zwrócić uwagę, że występując na rynek, należałoby nie brać z sobą tytułów, które na nim brzmią dziwnie. Tak np. czy podobna nie uśmiać się, czytając ogłoszenia, że Jaśnie Wielmożny hr. ...ski dostawia do domu mleko po 10 kop. kwartę lub sprzedaje w sklepach funt masła po 40 kop.? Przemysł i handel — to dwa gbury, które nie znają się na tytułach i nie umieją ich cenić. Po co więc tym prostakom rzucać na pastwę tak szlachetne klejnoty? Jesteśmy przekonani, że jeżeli kiedykolwiek jakiś arystokrata założy „kantor wymiany“ i ogłosi w okólniku: „Jaśnie wielmożny ...icz ma honor zawiadomić, iż otworzył interes bankierski“ — ci, którzy „stand vor de Bank,“ będą z tego drwili. Zrozumieli to dobrze akcyonaryusze warszawskiego lombardu, którzy ani pisną o tem, że są „j. w.,“ a goszeft idzie im doskonale.

Bezimienny turniej.

W Warszawie rozgrywa się obecnie walka szachowa między kilkunastu zapaśnikami. Ponieważ dostarczyliśmy światu kilku mistrzów tej szlachetnej rozrywki (Winawer, Zuckertort, Janowski); ponieważ dwa pisma, zamieszczając sławniejsze partye, krytykują Steinitzów i Laskerów nieraz bardzo ostro; ponieważ wyznaczamy konkursy na „końcówki,“ (w których, co prawda, główne nagrody zdobywają Czesi), zdawałoby się więc, że nam nie zbraknie do turnieju rycerzy mężnych z odkrytemi przyłbicami. Tymczasem oto nazwiska walczących: Acm, Crypton, B., Heto, Starza, Obuch— same pseudonymy, a śród nich zaledwie kilka nazwisk rzeczywistych. Czego tu się wstydzić? Kto grać nie umie, niech do zapasów nie staje, a kto umie, niechże nie kryje się *sub rosa*. Zajmowanie się szachami nikomu jeszcze nie ubliżyło, a porażki na 64 polach znosili nawet tacy mistrze, jak Andersen. Nie zaznaczalibyśmy tego faktu, gdyby on nie dowodził fałszywego wstydu, który u nas bardzo często objawia się tam, gdzie nie ma dlań żadnego powodu.

Dziwne warunki.

Znakomity pianista, I. Paderewski, przeznaczył 4,000 rs. na dwa konkursy: jeden muzyczny (symfonia lub suita, koncert, utwór kameralny — nagrody: 1,000, 500 i 500 rs. — termin 15 grudnia 1897 r.), drugi dramatyczny (tragedya, dramat, komedya, nagrody: 1,000, 500, 300 i 200 rs.— termin 1 stycznia 1898 r.). Każdy wszakże z tych konkursów opatrzony został szczególnym warunkiem. Mianowicie prace muzyczne mają być posyłane do p. A. Nikischa, dyrektora Gewandhausu w Lipsku, który przewodniczyć będzie komitetowi sądzącemu. Jakto, więc z tylu warszawskich krytyków muzycznych, którzy zalewają szpalty gazet szerokiemi rozprawami i wydają wyroki o genialnych kompozytorach i wykonawcach, nie można wybrać kilku znawców dla ocenienia płonu konkursowego? A może do ubiegania się o nagrody powołani są kandydaci ze wszystkich krajów i narodów? Lecz w takim razie, czemu o tem nie ma wyraźnej wzmianki?

Zapaśnicy znowu drugiego konkursu (powierzonego *Bibliotece Warszawskiej*) nie mogą liczyć więcej, niż 35 lat. Warunek ten ma wyrażać zamiar dania „zachęty młodym, a rzeczywistym talentom.“ Ograniczenie takie mogłoby być niezłem w społeczeństwie, posiadającem wielką ilość sił twórczych, lecz chybi celu u nas, gdzie zastęp ten jest bardzo nieliczny. To też obyśmy omylili się we wróżbie, ale przewidujemy, że komisya konkursowa będzie zasypana masą płodów niedojrzałych, z których bodajby wybrano coś cennego dla literatury.

Po krakowsku.

W Paryżu postanowiono wznieść pomnik dla Pasteura, a do uczestnictwa w składkach powołano wszystkie narody. Wszędzie też wyższe instytucye naukowe wydały mniej więcej podobne odezwy, podnoszące *naukową* działalność wielkiego badacza. Z tego chóru wyróżniła się tylko Akademia krakowska (wraz z uniwersytetem, Towarzystwem lekarskiem i przyrodniczem), która zaakcentowała, że Pasteur był „wiernym synem Kościoła.“ Ciekawa rzecz, jakiego powodzenia tej odezwy spodziewał się jej autor śród ewangelików, kalwinów, żydów itd., których przecie ów tytuł chwały bakteryologa francuskiego wzruszyć nie może? Stańczycy krakowscy zbyt często zapominają, że po za rogatkami ich siedziby i rządów nie można używać języka *Czasu*, jeśli się chce przemówić do serca i rozumu ludzi. Pasteur był rzeczywiście pobożnym katolikiem, ale to nie należy wcale do rachunku jego zasług naukowych, za które go świat wylęczuie czci bez różnicy wyznania. Szczepienie wścieklizny i karbunkułu, hodowle bakteryj i badania nad samorodztwem nie są ani katolickie, ani protestanckie, ani żydowskie i chyba tylko w Krakowie nabierają charakteru religijnego. Zabawni są ci mistrze stańczykowskiego znaku: im się zdaje, że ich głowy pękają od nadmiaru mądrości, a głupi świat nie może się w tych głowach doliczyć wszystkich klepek.

Poczta.

Warszawa, szczycąca się dziś brukami drewnianymi i innemi udogodnieniami, dorównywającemi wielkim miastom europejskim, pod względem wielu najważniejszych potrzeb stoi dotychczas niżej, niż niejedno miasto gubernialne. Do takich potrzeb najpilniejszych a pomimo to nie załatwionych przez długi szereg lat, należy poczta miejscowa, wprost paraliżująca ruch olbrzymi, który z każdym rokiem szybko wzrasta. Niewygody tej doznał chyba każdy z mieszkańców naszego miasta, który musiał wysyłać listy rekomendowane, odbierać posyłki i kupować marki. Niejeden po godzinnem próżnem wyczekiwaniu śród tłumów, szedł kupować marki do sklepu, lub chcąc wysłać list rekomendowany, odbywał podróże do filij pocztowych, również przepełnionych. Ale jeszcze więcej cierpią urzędnicy miejscowi. W ciasnych i ciemnych biurach siedzą oni przy oświetleniu gazowem przez cały dzień jesienny i zimowy; zajęci pracą gorączkową, oddychają zepsutem powietrzem, które przeszło niejednokrotnie przez płuca tłumów. Ekspedycya posyłek, gazet, dział korespondencyi rekomendowanej i pieniężnej, to są nory najokropniejsze, w których przesiadujący po kilkanaście godzin dziennie pracownicy pozazdrościliby niejednemu robotnikowi z fabryki tkackiej. Warunki te w mieście słynnem z olbrzymiego ruchu pocztowego nareszcie zmienią się wkrótce. Oto na wybudowanie wspaniałego gmachu ministeryum komunikacyi wyznaczyło 500,000 rs. Będzie on wzniesiony przy zbiegu ul. Wareckiej i placu. Olbrzymia hala, wysoka na dwa piętra, z dachem szklanym, ma być rozdzielona na dwie części: jedna do wydawania korespondencyi, druga do przyjmowania. Urządzone tam będą: wydziały wspólne, obsługujące publiczność, sprzedaż znaków pocztowych, przyjmowanie korespondencyi zwyczajnej, która nie może wejść do skrzynek, przyjmowanie listów rekomendowanych krajowych i zagranicznych, pieniężnych i posyłek, przekazów, wreszcie wydział reklamacyjny. Drugą stronę zajmie wydawanie korespondencyi zwrotnej i *poste restante*, pieniężnej, przesyłek, wypłata przekazów, wydawanie gazet. Środek sali zajmą abonowane skrzynki do listów. Wszystkie tedy czynności pocztowe będą załatwiane w samej hali. Piętra zaś mają być przeznaczone na pakowanie i klasyfikacyę posyłek tudzież przyjmowanie gazet. Dla pocztholteryi będzie obrany inny plac w mieście, koniec zaś znajdą pomieszczenie w budynku teraźniejszym.

BADANIA NAUKOWE.

NAUKOWE ZNACZENIE
WYPRAWY F. NANSENA *).

Podróż Fridtjofa Nansena zadała kłam wszelkim przepowiedniom. Powagi naukowe, zajmujące się specyalnie badaniami nad pasem podbiegunowym, odradzały odważnemu Skandynawczykowi wyprawę, dowodząc, że oparł plan swój na urojonych założeniach. Były nawet głosy, bezwzględnie twierdzące, że okręt wraz z ludźmi zginie bez wieści wśród lodów. Istotnie, na pierwszy

*) Z numerów gazety *The Daily Chronicle*: „Nansen's Story as told by himself.“

rzut oka zamiary Nansena wyglądały na mrzonkę. Postanowił on, dopłynąwszy do krańców wschodniej Syberyi, powierzyć się lodom, które powinny go naprzód posunąć bardziej na północ, powtóre zaś zepchnąć ku brzegom Grenlandyi.

Nastręczało się przedewszystkiem pytanie: czy okręt zdoła wytrzymać ciśnienie lodów i nie zostanie zgnieciony? *Fram* wyszedł zwycięsko z doświadczenia i jeśli Nansen z towarzyszami nie zginął wśród mroźnej pustki, jest to zasługą budowniczego okrętowego, który nietylko dobrał najodpowiedniejszy materyał, lecz nadto nadał statkowi stosowne kształty. Bywały chwile, gdy napór lodów, zdawałoby się, powinien był zdruzgotać niewielką łupinę z drzewa, ale urągała ona niebezpieczeństwom. Napierana ze wszystkich stron wydobywała się ponad lody i kładła się na nie. W czerwcu 1896 r. okręt znalazł się w kanale sztucznym z lodów, zamykających się nieraz dwukrotnie w ciągu doby. Raz lub dwa razy codziennie podnosił się on ponad zapory, tak, iż cały kadłub jego był widzialny, przyczem pokład najwyżej o 8° odchylał się od położenia poziomego, później zaś z powrotem opuszczał się do wody. Lody nie druzgotały statku, lecz wypierały go ze swego łona.

Z takiem arcydziełem sztuki budowniczej Nansen postanowił powierzyć się lodom, opierając się na przypuszczeniu, które wywołało liczne powątpiewania i zaprzeczenia, mianowicie, że istnieje prąd morski, idący od wschodniej Syberyi ponad ziemią Franciszka Józefa i Szpicbergiem do brzegów zachodnich Grenlandyi, gdzie spuszcza się ku południowi. Tę myśl podsunęło mu odszukanie na wybrzeżu południowo-zachodniem Grenlandyi pewnych przedmiotów, pochodzących ze statku *Jeannette*, który rozbił się w okolicy archipelagu nowo-syberyjskiego. Dostać się one tam mogły tylko unoszone prądem morskim, ten zaś nie posiadał i nie mógł posiadać innej drogi, prócz powyżej wskazanej. O tem samem świadczyło znalezienie na wybrzeżu Grenlandyi dzirytu, pochodzącego od Eskimów Alaski, a o którym stanowczo można było twierdzić, iż przebył cieśninę Behringa. Wreszcie natura lodów, płynących na południe wzdłuż wybrzeży Grenlandyi wschodniej, dowodziła, że musiały unosić się długo na wodach, zanim spiętrzyły się w takie góry. Przyszły z pomocą także studya mikroskopijne: na lodach, przepływających morze pomiędzy Islandyą a Grenlandyą, znaleziono pył brunatny, oraz okrzemki. Studya specyalistów wykazały, że ów pył mineralny mógł pochodzić tylko z Syberyi, co zaś do okrzemków były one uderzające pokrewne z zebranymi w okolicach cieśniny Behringa.

Te fakty, zresztą dla większości znawców bardzo wątpliwe i podejrzane, natchnęły Nansena śmiałą myślą, że wyprawa, któraby na mocno zbudowanym statku wkroczyła pomiędzy zwartą masę lodów gdzieś w okolicy Syberyi wschodniej i została zamknięta tam, będzie unoszona prądem i bez wysiłków dostanie się do Grenlandyi, zwiedziwszy po drodze okolice, leżące bardzo blisko bieguna północnego. Wyprawa jego dowiodła, że zapatrywania te były najzupełniej słuszne.

Podróżnik skandynawski opuścił port wardzki (Wardö) w Norwegii 21 lipca 1893 r. Droga początkowo prowadziła wzdłuż północnego wybrzeża Syberyi, dość uciążliwa, bo lody bardzo często zamykały przejście. W okolicy archipelagu nowo-syberyjskiego piętrzyły się takie zawady, że Nansen musiał się wyrzec dalszego płynięcia w kierunku wschodnim i udał się wzdłuż zachodniej krawędzi wymienionych wysp na północ. Tam pod 78°, 50° szer. półn. (w d. 22 września 1893 r.) pozwolił, ażeby lody otoczyły go ze wszystkich stron i zwarły się dokoła okrętu. Odtąd *Fram* aż do 13 sierpnia 1896 r., tj. w ciągu niemal lat trzech płynie przez nie unoszony i naciskany z wyjątkiem paru tygodni podczas lata. Przypuszczenie, że istnieje prąd, idący w kierunku północno-zachodnim od cieśniny Beringa, okazało się zgodnem z rzeczywistością. Podczas zimy i wiosną pchał on okręt wraz z lodami na północo-zachód, bo latem wiatry północne wstrzymywały wyprawę i zmuszały ją cofać się na południe. Droga wogóle była kręta, *Fram* niejednokrotnie robił koło i powracał na miejsce, na którem już był. Tak szło w ciągu całego roku 1894. W Boże Narodzenie Nansen dotarł do 83° 24' szer. płc., tj. do szerokości, do jakiej dotychczas nikt jeszcze nie doszedł. Wiosną r. 1894 podróżnik skandynawski zdecydował się na krok stanowczy i powiedzmy otwarcie, awanturniczy. Postanowił on opuścić statek, ażeby zbadać przestrzenie, leżące dalej na północ od drogi *Frama* i dotrzeć tam, dokąd nie spodziewał się dojechać na okręcie. Puszczając się w taką drogę, nie mógł on w żaden sposób liczyć na to, ażeby zdołał odnaleźć z powrotem statek, unoszony przez wody. Rozstawał się więc z nim i miał tylko jedno wyjście z powrotem — na saniach przedostać się na krawędź zwartego lodu, ztamtąd zaś na wątłym kajaku dotrzedz do najbliższego lądu. Zrobił to z jednym z towarzyszów w marcu. Nie będziemy opisywali wycieczki, której niepodobna spokojnie odczytywać: dwóch śmiałków torowało sobie drogę na północ, nie mając pewności, czy uda im się kiedykolwiek powrócić. Posługując się saniami, doszli aż do 86°, 14'. Spiętrzone lody, nasuwające się nawzajem na siebie i roztrącające się, zmusiły ich do odwrotu. Dopłynęli oni w sierpniu r. 18.5 do ziemi Franciszka Józefa, na której zastali członków wyprawy Jacksona, 13 sierpnia zaś roku następnego zawitali do Wardö. Co zaś do okrętu, oddawszy się na łaskę prądów, płynął on wraz z lodami coraz bardziej na północ i zachód. W listopadzie dotarł do 85° 57 i nawet zdaje się dalej, ale mgła, która rozpostarła się w ciągu kilku dni, nie pozwoliła wymierzyć szerokości. Wiosną r. 1896 *Fram* znalazł się na długości Szpicbergu i postanowił wydostać się na otwarte morze, co udało mu się po wielu wysiłkach. Dopłynął on do jednego z portów skandynawskich w ostatnich dniach sierpnia.

Tak w ogólnych zarysach przedstawia się wyprawa Nansena, niemająca równych sobie co do śmiałości i jednocześnie powodzenia. Przyjrzyjmy się teraz jej zdobyczom naukowym. Na pokładzie prowadzono ciągłe spostrzeżenia, tak, że ci, którzy zajmowali się robotą naukową, zaledwie mogli podołać obowiązkom. *Fram* był doskonałem obserwatoryum i Nansen zaznacza, że wyprawa wróciła z tak obfitym i cennym materyałem naukowym, jak żadna dotychczas. Porucznik Scott-Hansen prowadził spostrzeżenia meteorologiczne, magnetyczne i astronomiczne, dr. Blessing zajmował się poszukiwaniami botanicznemi i studyował zorzę północną. Robiono badania zoologiczne, mierzono głębokość morza, notowano temperaturę i słoność wody morskiej itd. Studya te odznaczają się podobno wielką ścisłością, lecz jak dotychczas, nie ogłoszono jeszcze rezultatów. Poprzestać więc musimy na luźnych wzmiankach, które znaleźliśmy w pracy Nansena, a które dotyczą strony geograficznej.

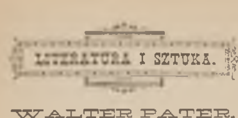
Wyprawa zbadała przedewszystkiem kształty północnego wybrzeża Syberyi. Są one zupełnie inne, niż jak to zwykle przedstawiają mapy. Nansen nie wypowiada stanowczo i bezwzględnie swego zdania, ale zaznacza, że według niego odtwarza ono charakter zachodniego wybrzeża Norwegii, tj. jest porznięte fiordami, chociaż góry nie są tak wysokie, ani fiordy tak głębokie, jak w tylko co wymienionym kraju. Wzdłuż wybrzeża ciągną się pasma skał i wysp. Już na wodach morza Karskiego na północo-wschód od ujścia Jenisseju odkryto nową wyspę. Odtąd okręt wciąż napotykał po drodze nowe, a nieznane ziemie, niekiedy całe archipelagi nieznacznej wielkości wysp. Między innemi Ziemia Franciszka Józefa, leżąca na północ od N. Zemli na tej samej długości i uchodząca za ląd większych rozmiarów, okazała się nietylko grupą wysp, ale nadto tak małych, jak nikt nie przypuszczał. Zdaniem Nansena, stanowią one przedłużenie Szpicbergu wschodniego. Podróżnikowi skandynawskiemu nie udało się zbadać zachodniej części Ziemi Franciszka Józefa, ani jej łączności ze wspomnianym co archipelagiem. Mniema on, że muszą tam ciągnąć się niewielkie wysepki, nie zachodzące jednak zbyt daleko na północ. I ziemia Petermana, która ma istnieć na 83° szer. płc. na północ od Ziemi Franciszka Józefa, prawdopodobnie jest niewielką wyspą. Ląd ten składa się z bazaltu i jest przerznięty fiordami i kanałami, nie wznosi się jednak wyżej nad 2,000 stóp nad poziom morza. Dalej na północ wyprawa nie spostrzegła najmniejszych śladów ziemi. Lody płynęły tam, pędzone przez wiatr i prądy i niepowstrzymywane przez żaden ląd stały, ani wysepki, na olbrzymiej przestrzeni. Nansen wypowiada zdanie swoje bardzo ostrożnie, atoli skłania się do przypuszczenia, że istnienie ziemi z tej strony, tj. od Syberyi ku biegunowi północnemu, jest mało prawdopodobne. Natomiast jest możliwem, iż od archipelagu północno-amerykańskiego ciągną się do bieguna pasma wysp i wysepek.

Morze, otaczające wybrzeże syberyjskie, aż do 79° szer. półn. jest względnie płytkie. Głębokość jego tam nie przewyższa 90 sążni. Natomiast na północ od tego stopnia szerokości głębina wzrasta bardzo szybko i dosięga 1,600 i nawet 1,900 sążni. Nansen mniema, że to zagłębienie podbiegunowe trzeba uważać za dalsze przedłużenie kanału, który rozpoczyna się w Atlantyku pomiędzy Grenlandyą a Szpicbergiem. To odkrycie badacza skandynawskiego obala wszelkie dotychczasowe teorye, twierdzące, że morze Lodowate jest bardzo płytkie. Temperatura i słoność wód morskich także okazały się innemi, aniżeli zwykle mniemały powagi naukowe. Pod zimną wodą, rozlaną na powierzchni, Nansen na nieznacznej głębokości napotkał bardzo znaczną warstwę wody ciepłej, bardzo słonej, posiadającej temperaturę 1° powyżej zera. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, prąd ten dolny jest dalszym ciągiem golfstream'u. Poniżej woda była znowu nieco chłodniejsza, ale swoją drogą cieplejsza, niż przyjmowano dotychczas.

Z badań Nansena wynikałoby, że lody na północy rozpościerały się ongi rozleglej, aniżeli dzisiaj. Znalazł on na wyspie Kiellmana i w wielu punktach wybrzeża syberyjskiego niewątpliwe ślady okresu lodowego, podczas którego cała Syberya północna była pod lodem na znacznych obszarach. Spotkał on głazy narzutowe i moreny prawie wszędzie, gdziekolwiek wysiadł na ląd.

Takie są zdobycze geograficzne wyprawy Nansena, wnoszące bardzo liczne poprawki do dotychczasowej znajomości tych okolic.





WALTER PATER.

Filozofia stoicyzmu, którą Maryusz poznał jeszcze za czasów, gdy pacholęciem odbył piegrzymkę do świątyni Eskulapa, w rozmowie z kapłanem, który radził mu zostawać we wszystkiem, w myślach i czynach, umiarkowanym, aby za tą cenę zdobyć zupełny spokój serca i umysłu — teraz, po śmierci matki i Flaviana, coraz mniej zaczęła go zadawalać. Raczej skłaniał się ku mistycyzmowi Heraklita, który nauczał, iż wszystko jest pozorem, iż świat jest zmorą zwodniczą. Przypadał mu także do smaku rozczarowany optymizm Cyrenaików swem dążeniem do rozkoszy, swą chęcią ozdobienia życia, nie dbając o jego wartość wewnętrzną.

Z tych czynników ułożył sobie filozofię osobistą, która stawiała sobie za cel życie samo. Chciał poznać naprzód ten świat pozorów, w którym wszystko go interesowało, a następnie, a raczej jednocześnie, pogrążyć się w życie czynne, ze wszystkiemi jego rozkoszami i cierpieniami. Przyszedł do wniosku, iż badanie oderwane jest rzeczą próżną, iż trzeba żyć życiem konkretnem, realnem.

Zgłodniały wrażeń udaje się do Rzymu, pieszo, z kilku niewolnikami i mułami. Przybył do stolicy w chwili owacyi, którą lud wyprawiał ukochanemu Markowi Aureliuszowi. Cesarz był owinięty w togę bogatą, ale kroju przestarzałego. Miał oczy uparcie spuszczone, twarz jego tchnęła pogardliwą dobrocią. Włosy pozostały czarne i gęste. Czoło oznaczało człowieka, który pośród zaślepienia i chwiejności wszystkich sam jeden tylko zachował jasny pogląd na całość pozorów. A jednak miał w zmarszczkach ust i w rękach coś znużonego i ascetycznego, co raziło Maryusza, jako brak poszanowania dla piękna ciała.

Istotnie, były to czasy panowania filozofów, wyniosłych żebraków, o włosach nieczesanych, o brodach i paznokciach, które były przedmiotem śmiechu dla tłumu. Marek wszystkich przygarniał i sowicie uposażał. „Jego broda — mówiono o pewnym filozofie — daje mu dziesięć tysięcy cystercyj dochodu." Cesarz przejął ich zwyczaje pogardliwego zachowywania się względem wszelkiej formy i powierzchowności. Widziano go często na ulicach bez dworu, bez straży, w zaniedbanym płaszczu filozofa. Starzy Rzymianie, oburzeni tym napływem cudzoziemców ze wszystkich krańców świata, nie szczędzili swych sarkazmów samemu cesarzowi, nazywając go „starą kobietą filozofującą." Właściwie mówiąc, idea Marka Aureliusza była zupełnie słuszną — nastąpi na pewno kiedyś chwila, gdy zarząd spraw ludzkich należeć będzie do nauki — tylko nazbyt przedwczesną, zwłaszcza jeżeli zważymy, iż każdy bogacz ówczesny mógł sobie sprawić filozofa, który na przechadzkach nosił parasol pani domu, a także jej pieska.

Filozofowie i cesarz patrzyli na literatów i artystów z pogardą. Od tego czasu rozpoczyna się upadek piśmiennictwa rzymskiego, sztuki plastyczne wydawały się Markowi Aureliuszowi błahostkami. Świat zupełnie się odrywał od formy i piękna. Filozofia pracowała w tym duchu wraz z chrześcianństwem. Dążyła tylko do tego, co mogło polepszyć położenie słabych. Jak rzekliśmy, ta obojętność cesarza na sztukę nie podobała się Maryuszowi. Ale w innych rzeczach wprost go uwielbiał, zwłaszcza gdy miał sposobność bliżej, osobiście go poznać. Dostęp do Marka Aureliusza był nadzwyczaj łatwy. Nie miał w sobie nic z dumy wyniosłej. Zachowywał się jako wyniosły urzędnik publiczny, bez cienia dworu i etykiety, której nienawidził. Nie krył się ze wstrętem dla swych poprzedników, rozpustnych i okrutnych Sardanapalów. Tylko jego grzeczność w obejściu była wytworna i prawdziwie królewska. Miał dla każdego ze swych gości złośliwo odpowiedzi. Maryusz spodobał mu się czystością spojrzenia. „Wypada — rzekł doń cesarz — raczej być podobnym do bogów, niżli im schlebiać. Upewnij się, iż ci, do których się zbliżasz, stają się lepsi przez twą obecność."

Maryusz widział też i Faustynę, tę najpiękniejszą i zarazem najbardziej tajemniczą kobietę, która umiała swe uczucia i postępki otoczyć tak gęstą zasłoną, iż dotychczas nie wiemy, co mamy o niej sądzić. W każdym razie nie rozumiała wielkości człowieka, który był jej mężem. Była zmęczona jego filozofią i dobrocią. Nudziła się, szukała rozrywek na uboczu. Cesarz, który wszystko rozumiał, zrozumiał i to, cierpiał i milczał. Ale ileż walk wewnętrznych on musiał przebyć, aby dojść do swej filozofii! Trwałość, z jaką powtarza swą myśl o potrzebie pobłażliwości, dowodzi, iż on często musiał się przezwyciężać, a pod całem jego rozpaczliwem wyrzeczeniem się sławy i szczęścia kryje się głębokie rozdarcie wewnętrzne, rana, która wciąż się jątrzy.

Nareszcie Maryusz słyszał go w senacie, gdy wypowiadał mowę w wyrażeniach prostych, lecz wytwornych, o potrzebie energii i próżności ambicyj zewnętrznych. Ten człowiek dobry, ten filozof, był wodzem i bohaterem. A jednak znajomość cesarza wzmocniła tylko wahania Maryusza. Stoicyzm wydawał mu się nazbyt zimnym. Nie spodobał mu się także ani platonizm mistyczny Apuleusza, ani sceptycyzm Lucyana, których wizerunki autor podaje. Dopiero chrześciaństwo tchnęło nań powiewem świeżości i nadziei.

Widok męczeństwa wzbudził w nim przeczucie rozkoszy, płynących z ofiary i poświęcenia, wiara w zmartwychwstanie odpowiadała najgłębszej potrzebie jego serca. Ale po za granice smaku do nowej wiary wyjść nie potrafił, nie umiał się wyrzec piękna. Pobyt chwilowy w willi, gdzie spędził dzieciństwo, wskrzesił w nim nawet pierwotne wierzenia. Wracał właśnie z przyjacielem swym, chrześcianinem Korneliuszem do Rzymu, gdy z powodu trzęsienia ziemi, które przypisywano chrześcianom, aresztowano ich. Wiedziano, iż jeden z nich tylko należał do sekty prześladowanej. Maryusz pewny, iż się w Rzymie wytłómaczy, wydał siebie za chrześcianina, aby uwolnić towarzysza. Żołnierze obchodzili się jednak z naszym bohaterem tak okrutnie, iż w drodze do Rzymu dostał gorączki i umarł. Przed śmiercią przyjął sakramenty, jakkolwiek nie wierzył, a chrześcianie święcili pamięć jego męczeństwa. W gruncie jest to historya samego Patera i jego niezdecydowania.

Całe dzieło jest romansem filozoficznym, osoby nakreślone są w rysach mglistych i znikomych. Przytem autor — przez niemoc, czy też przez pogardę — niechętnie wprawia je w ruch. Akcya wydaje mu się czynnikiem wulgarnym, tak samo jak wzruszenia zwykłe, ludzkie. Osobno pomówimy o pracach krytycznych Patera, o jego studyach nad Renaissancem i jego „Imaginary portraits." Do charakterystyki autora nie dodają one nic nowego, chyba to, iż wszędzie poświęcał ścisłość naukową dla piękna frazesu. Ale to jest tak zrozumiałe! Jakaż magia kryje się w harmonii pięknego słowa, iż ono pieści wszelką boleść i często bywa wyzwoleniem od smutku i rozpaczy?

Dr. L. W.

„KOMEDYANTKI."

II. *)

Królewna, poszukująca w bajce zaklętych braci, wdziera się na urwistą, wysoką górę. Ażeby utrzymać się na stromej spadzistości, musi odgryzać kawałek palca po kawałku i zatykać w twardą opokę. Po tych szczeblach, krwią opływających, wdrapuje się coraz wyżej, niepomna bólu, bo przyświeca jej idea, płynąca nie z mózgu, lecz z serca — uratowania pokrzywdzonych, cierpiących braci.

I w orszaku atomów-kobiet, samotnie przedzierających się przez ciernie życia, są także siłaczki — „młode żniwiarki," „które na wspólnych prac niwie stanęły śmiało i choć nikt nie ozwał się słowem zachęty, snop swój ciężki wiążą cierpliwie przez dobę całą." Obierają one jakiś posterunek na polu opuszczonem, jałowem, żyją półgłodne niekiedy, miewają nawet chwile, gdy opuszcza je nadzieja i na ustach zawisł okrzyk ponury rozpaczy: kiedyż zadnieje?! Ale po za niemocą chwilową, po za przelotną tęsknotą nie znają pustki, nawet gdy żadna ręka nie spocznie na ich głowie. Taka siłaczka czerpie otuchę w świadomości, że choć krwią własną znaczy ślad swój na ziemi, przecież życie jej nie mija bezowocnie, bo jest i była

> ...rosą, co rzeźwi o świcie
> zioła mdlejące.
> ..gwiazdą, co czuwa w błękicie
> nim wejdzie słońce.

Pełnią uczucia rozbrzmiewa tam jaźń wewnętrzna — nie pieszczotą, która jej się należy jako kobiecie, lecz promieniami, które rzuca za siebie w przepaściste głębie nędzy i ciemnoty. A kiedy już siły opuszczą, pierzchną ostatnie sny zwodnicze i noc roztoczy swe mroki — bezsłonecznie, nawet wtedy pozostaną wspomnienia chwil zapału, rozjaśniające teraźniejszość odblaskiem przeszłości.

Są to najszczęśliwsze towarzyszki znaku niewieściego, idącego w rozsypce po ścieżce życia. Głód ciała bywa tam zagłuszony, gdy zaś wydostanie się i płomieniem ogarnia jestestwo całe, nawet naówczas nie sprawia spustoszeń moralnych. Ciało ulega zbuntowanym potrzebom, ale duch czuwa. Opowiadano mi niegdyś o jednej z takich bohaterek — niewątpliwie należy się jej to miano, mimo że po gardło zagrzęzła w trzęsawisku. Oddała się komuś i logika faktów znalazła się w objęciach drugiego i dziesiątego. Może był to wybuch tłumionych instynktów, które, niezaspokojone we właściwym czasie, przybrały charakter pociągu chorobliwego. I jak bywa w takich razach, mężczyzna okazał się tylko mężczyzną — włóczono ofiarę po numerach najwstrętniejszych hotelów i gabinetów restauracyjnych. Znajomi oddawali znajomym, jak pożycza się książkę sensacyjną, dalsze zaś koła miały coraz mniej litości i próby obrony tłumiły pogróżką rozgłosu. I upadająca w walce nierównej, nieświadoma, że lekarz dałby może pomoc najodpowiedniejszą, ukrywająca swoją chorobę przed tymi, którzy podaliby jej rękę, czerpała siły w tem, że stanęła śmiało na jałowem polu i snop ciężki wiązała cierpliwie. I im

*) Początek był drukowany w nr. 49 *Prawdy* r. z. Pomimo wspólnego tytułu, artykuły są poniekąd dość niezależne co do treści. *Red.*

bardziej tonęła w trzęsawisku, stworzonem przez nienormalne warunki bytu, tem gorliwiej „harowała" — że użyję wyrażenia ludowego. Ciało jęczało plugawione, ale dusza rosła. Nie wiem, ile jest prawdy w tym rozdzierającym dramacie, ale przyznam się, że takiej siłaczce uścisnąłbym dłoń z całym szacunkiem, którego nie mam dla całych zastępów, co czyste i niespożyte dopłynęły do nawy małżeńskiej. Stan ich nie jest cnotą, tylko dziełem temperamentu, niekiedy przesądnej obawy lub szczęśliwego zbiegu okoliczności.

Typy takie stanowią nieliczną gromadkę wśród orszaku kobiet, przebojem idących. Inne rzucają się w gwar życia skutkiem żywotności i energii. Spragnione wrażeń, nie zaciekają się nad zagadnieniami nauki, nie zgłębiają niedomagań społecznych, lecz łakną wypić czarę uczucia. Bohaterka *Komedyantki* jest właśnie taką osobistością. Wyrywa się z domu, jak ptak z klatki, niepytający, co stanie się z nim na swobodzie, byleby tylko spróbował skrzydeł w wyżynach powietrznych.

Dramat Janki to życiorys wielu. Natura dumna i dzika, przebywa w domu ojca w Bukowcu, podrzędnej stacyi kolejowej. Życie upływa tam szaro i jednostajnie, rozklasyfikowane pomiędzy obiady i wieczorki i przeplatane wintem mężczyzn i plotkami kobiet. Dziewczyna buntuje się przeciw takiemu otoczeniu, pragnie czegoś, coby ją porwało całą. Ucieka od ludzi, szamocze się z sobą, znajdując jedyne ukojenie w potężnej przyrodzie — tam pod konarami dębów puszcza wodze wyobraźni i leci w świat olbrzymów. Czegoś łaknęła, choć nie wiedziała czego. Przypadek dał ujście jej porywom. Zaproszono ją do teatru amatorskiego, reszty dokonał Szekspir. Otoczył ją raj dusz może nieraz podłych i płaskich, ale wielkich, po których niema śladu.

Postanowiła wstąpić do teatru. Lecz mroziła ją myśl sama otwierania drogi kułakami. I znowu przypadek rozstrzygnął o jej losach.

Pokochał ją niejaki Grzesikiewicz, syn sławnego karczmarza, dzisiaj dziedzic olbrzymiej fortuny, człowiek dobry i uczciwy, ale który nie wywoła dreszczu nerwów ani nie wzbudzi zapału. Ojciec wziął jego stronę, Janka opiera się. Dochodzi do gwałtownej sceny i dziewczyna z paru rublami ucieka w świat, którego nie zna, lecz który ją wabi nadzieją wrażeń wielkich, podniecających.

Dostaje się do trupy na chórzystkę, w otoczenie osób wykolejonych, żyjących resztkami rozprzężonej jaźni. Mózgi to ciasne, indywidualności przeciętne, serca małe, słowem, tłum czarny. Zamiast zapału, intrygi i zazdrości wzajemne. Ponad wszystkiem zaś góruje nędza, zażegnywana przez miedziaki, które trzeba wyżebrać w kasie. Wraca samotność, urozmaicana przez chwile entuzyazmu, gdy Janka „robi tłum" na scenie, i marzenia o przyszłych tryumfach. Deptak wielkomiejski, czczy i zwodniczy, rozstraja dziewczynę, która przywykła do przyrody Bukowca. Usiłuje zbliżyć się z koleżankami, lecz nadaremnie tam szuka duszy, rozpanoszyło się tylko zdemoralizowane ciało, frymarczące swemi wdziękami. Natomiast zapoznaje się z natarczywością mężczyzn. Już w hotelu, w którym zatrzymała się po przyjeździe, handlarka zapewnia ją, że „ładne, młode mężczyzny, bogate mężczyzny same przyjdą... bogate, śliczne mężczyzny." W pierwszym dniu pobytu w teatrze czyjaś nieproszona ręka otacza jej kibić, powracającą zaś z zabawy koleżeńskiej i nieco nieprzytomną jeden z przyjaciół powiezie do swego mieszkania, pewny, że nie napotka oporu u bezwładnej dziewczyny. A obok pustki zawodów i upokorzeń nadchodzi widmo nędzy i żebranina o miedziaki.

Próżnia uczuciowa, samotne życie, nędza, słowem wszystko sprzyja, że w sercu Janki rodzi się miłość. Potrzebuje ona posiadać kogoś, przed kim mogłaby wyspowiadać się z marzeń swoich i utrapień. W trupie jest niejaki Władek, dla którego życie całe streszcza się w arcyprostej formułce: knajpa, pieniądz i dziewka. Janka wybucha przed nim entuzyazmem dla sztuki. Nudzi go ta „komedya," ale nie przerywa on zapału, zmiarkowawszy, że wzbudzanie dreszczu nerwów jest najlepszym sposobem dla wyzyskania tej natury gorącej, namiętnej. Czelny ulicznik zaczął udawać entuzyastę i po jednem z takich podejść dziewczę oddaje mu się z biernością istoty olśnionej, bez słowa oporu, ale i bez świadomości.

Lecz wolna miłość jest tylko wolną miłością! Ani myślę znieważać tego hasła entuzyastów i entuzyastek, którzy zrozumieli, że jedyną godziwą podstawą stosunku pomiędzy płciami jest istotna miłość i że w takiem połączeniu dwóch jestestw niema ani źdźbła niemoralności. Ale nie zapominajmy także, iż ów ideał, stosowany w obecnej chwili, będzie tylko najnikczemniejszym wyzyskiem kobiety przez mężczyznę, przywłaszczeniem sobie przez stronę silniejszą wszelkich rozkoszy, lecz wyzbyciem się obowiązków i zrzuceniem ich na barki słabsze. Kobieta musi mieć rękojmię prawną, że nie pozostawią jej w nędzy z dzieckiem na ręku. I nawet gdy niema takiego dowodu materyalnego, przesądy wyżłobią głęboką przepaść pomiędzy tą, która idąc za uprawnionym głosem instynktów, w jej jestestwie zaszczepionych przez przyrodę, zboczy ze ścieżki zwykłej, a otoczeniem.

Trzeba mieć wtedy bardzo dużo hartu i niezależności ducha, ażeby stawić czoło pogardliwym spojrzeniom gąsek, szczycących się tylko tem, iż mogą ofiarować męwi niespożyte jeszcze ciało, lub podejrzanym umizgom mężczyzn. Nadto trzeba posiadać majątek, bo przekroczenie pewnych zwyczajów najzdolniejszą nawet dziewczynę pozbawia zarobku. Wolna miłość, głoszona przez mężczyzn i powtarzana przez entuzyastki, kończy się zawsze tem, że kobieta zostaje wykolejona z otoczenia i zarobku, później porzucona, niekiedy przekazana. Na dzisiaj jest to tylko jeden z ideowych środków obławy, praktykowany tam, gdzie mężczyzna jest o tyle uczciwy, iż potrzebuje dla siebie wymówki. Nastać może ona bez szkody dla naszej słabej towarzyszki, w którą gdy kocha można wmówić nawet, że stąpanie po kolcach jest rozkoszą najwyższą, dopiero wtedy, kiedy społeczeństwo zapewni byt materyalny każdej matce, w narodzie zaś rozpowszechni się świadomość, że jedyną cnotą człowieka jest czystość jego jaźni i wrażliwość na cierpienia innych, nie zaś to, jakich kosztował uścisków.

Wolna miłość Janki kończy się tak, jak musi się kończyć — Władek porzuca ją, gdy przejadły się mu wdzięki, dolegliwości zaś zaczęły zapowiadać, że nastał czas ponoszenia ciężarów wzamian za otrzymane rozkosze. Opuszcza ją w sposób najnikczemniejszy. Pospolity mężczyzna zniknie, pozostawiając kobiecie wyłączną pokutę za wspólne postępki, lub podsunie ofiarę przyjacielowi. Władek tymczasem stara się wykierować Jankę na nierządnicę, którąby frymarczyła swymi powabami i takiemi brudnemi pieniędzmi opłacała jego karty, pijatykę i miłostki. Pustka dawna wraca z nowym zawodem. Do tego spotykają dziewczynę rozczarowania w teatrze, przykre dla jej zapału i dumy, przykrzejsze jeszcze dla jej kieszeni, bo pozbawiają nawet miedziaków. Wyrzucona z mieszkania, bez środków utrzymania, a z dzieckiem w łonie swojem, wreszcie bez ręki serdecznej, którąby podtrzymała ją w ciężkiej chwili, ma przed sobą albo rzucenie się na oślep w trzęsawisko frymarczonej miłości, albo śmierć. Dumna, dzielna, czysta Janka wybiera to ostatnie.

Jeden z naganiaczy, któremu dziewczę wymknęło się z rąk, dowiedziawszy się o zażyciu przez nią trucizny, rzuca na jej głowę obelgę: „komedyantka!" Tą samą nazwą znieważa ją Władek, gdy przed nim w zachwycie miłości odsłania zapał dla sztuki, poloty i marzenia. Tak chrzci ją wreszcie otoczenie Bukowca, choć Janka przerosła je uczuciem, szlachetnością i myślą. Ginie więc „komedyantka," i ginie dlatego, że nie mogła wyżyć w zatęchłej atmosferze żądz ślimaczych i myśli ospałych, że jak ptaszyna wolna pragnęła i lasu i śpiewu i pobujania w przestworzu. W katuszach życia samodzielnego wyrosła ona duchem. Zresztą i ciało jej jest tylko o tyle splugawione, iż dotknął się go nikczemnik, nie zaś, że oddała je komuś — tak jak splamiono twarz naszą, gdy z pod koła dorożki padnie na nas błoto. Dumna Janka, zapatrzona w czystość zewnętrzną, nie dba o to, że inni to skalanie zewnętrzne, przypadkowe biorą za upadek moralny.

I tak samo ginie niejedna komedyantka! Biedne, swobodne, a samotne atomy, porwane przez odmęt dzisiejszy, toną tam setkami i tysiącami, a im któraś szczersza, piękniejsza siłą uczucia, tem prędzej będzie rozszarpana. Manekiny, które trzymają się zasady, iż trzeba szukać nie kochanka i nie człowieka, lecz męża, które zaspakaja monotonna klasyfikacya życia na obiady, plotki i czcze wizyty, pomimo, że mają duszę pospolitą, nie zostaną napiętnowane jako komedyantki. Janka przewyższa umysłem swoim mieszkańców Bukowca, mężczyzn i kobiety, i tylko ona jedna zostaje skrzywdzoną i oplwaną.

A cóż stałoby się, gdyby opuszczono ją już jako matkę? Wątpię, czy miałaby wtedy odwagę zadać śmierć sobie i temu maleństwu, które rozpłakane tuli się do jej piersi. Uczucie macierzyńskie jest tak silne, tak skłonne do poświęceń... Jęk rzeszy bezimiennej jest mi odpowiedzią i łzawe spojrzenia. Z głębokim smutkiem patrzę na ten dramat tonięcia odważnych, dzielnych kobiet — ze smutkiem i szacunkiem. Złoto, nawet zanieczyszczone, pozostaje kruszcem szlachetnym, pospolity tombak, chociaż błyszczący i świecący, jest tylko tombakiem. Dostojewski, ten niezrównany analityk rosnącej, szlachetniejącej duszy, jeden z najlepszych utworów swoich kończy obrazem, w którym mężczyzna klęka przed splugawioną nierządnicą i składa hołd czystości jej ducha.

K. R. Żywicki.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

PRASA LEKARSKA. Aż trzy nowe organy mają przybyć od nowego roku naszemu piśmiennictwu medycznemu: *Kuryer Lekarski* pod redakcyą d-rów Rauma i Bieroackiego, *Rocznik Kliniczny* pod redakcyą d-ra Misiewicza i *Krytyka Lekarska* pod redakcyą d-ra Kramsztyka. Tej ostatniej numer pierwszy już wyszedł.

BADANIA NAUKOWE. W. Smoleński opracował *Ostatni rok sejmu wielkiego* (473 str.). Jest to dopełnienie dzieła Kalinki, naturalnie, całkiem od niego niezależne.

— Obok *Logiki medycyny* dr. Biegańskiego mamy obecnie *Logikę ekonomii* (312 str.) Z. Heryngа.

— Znany specyalista, Piotr Boczkowski, wydał *Okulistykę weterynaryjną*, część I, anatomia i fizyologia, oraz badanie lecznicze narządu nerwowego (z tablicami i rycinami, 377 str.).

POWIEŚCI. Marya Milkuszyc: *Dziadowie i wnuki* (267 str.). T. Paprocki.

SPRAWY EKONOMICZNE

ROZWÓJ EKONOMICZNY W NIEMCZECH.

Bardzo wiele rozprawiano w ostatnich czasach o wzroście przemysłu niemieckiego, a nawet przepowiadano, że Niemcy zaczynają usuwać Anglię z naczelnego stanowiska na rynku wszechświatowym. Co do nas, nie bardzo wierzymy tym przepowiedniom dyletantów na polu ekonomiki, w rodzaju np. autora sensacyjnej książki „Made in Germany,“ którego cyfry i wnioski, zbyt pospiesznie wyciągane, nie zasługują na poważne traktowanie. Faktem pozostaje jedynie, że Anglia, która niegdyś panowała bezwzględnie nad handlem i przemysłem całego świata, sama sobie stworzyła współzawodników, którzy stają obok niej, a pomiędzy nimi także Niemcy. Potrzebując bowiem zboża dla swojej ludności robotniczej, pobudzała inne kraje do wytężonego rolnictwa, prowadzonego w sposób kapitalistyczny, z czego nareszcie korzystała podwójnie, gdyż otrzymywała potrzebne zboże i znajdowała odbyt na własne towary. Jednakże rynek wewnętrzny, powstający w tych krajach rolniczych, pobudzał również rozwój przemysłowy, a skoro ten raz wystąpił, musiał też ogarniać całe państwo, potęgować się z konieczności. Odgradzały się więc te kraje rolnicze od Anglii tamą ceł przywozowych, a poczęty ruch nie znał już hamulca: przemysł wzrastał do tego stopnia, że kraj rolniczy, jak Niemcy, przekształcał się na przemysłowy, z wywożącego zboże stawał się przywożącym i w końcu musiał poszukiwać rynków zagranicznych, walczyć o nie z dawnym ich samowładcą — Anglią. Skutkiem tego nie stoi ona ponad innymi producentami, lecz w ich rzędzie, ale w tym rzędzie zajmuje pierwsze miejsce i dotąd nie ma mowy, aby Niemcy wyprzedziły królowę mórz. Jeżeli teraz natarły tak gwałtownie, zdaniem naszem, tłómaczy się to w sposób następujący. Przemysł niemiecki zaczął zdobywać rynek zamorskie nie w czasie ożywienia, lecz w czasie ciężkiego ucisku lat ostatnich, a zdołał osiągnąć cel jedynie dzięki temu, że rozporządzał jeszcze rynkiem wewnętrznym, niewyzyskanym w tym stopniu, co angielski, oraz że rozporządzał nader tanim robotnikiem, ponieważ rolnictwo, przechodząc ciężkie przesilenie, dostarczało olbrzymiej armii rezerwowej. Obecnie osłabienie na rynku wszechświatowym minęło i wchodzimy od r. 1895-go w okres ożywienia, spowodowanego: 1) niebywałą wydajnością produkcyi złota; 2) otwarciem Chin dla handlu wszechświatowego; 3) rozwojem ekonomicznym Japonii, Rosyi, Ameryki i Afryki południowej. Kraje te dziś przedewszystkiem potrzebują wytworów wielkiego przemysłu: maszyn, relsów kolejowych, okrętów, przędzy, barwników i wogóle produktów pomocniczych dla swojego powstającego przemysłu. Anglia więc i jej współzawodnicy przez czas jakiś mogą rozkiełznać całą swoją produkcyę, a obfitość pieniędzy [1]) pozwala przemysłowcom korzystać z dogodnych warunków z całą swobodą. To też nowe przedsiębiorstwa w Anglii, w Niemczech i u nas wyrastają teraz jak grzyby po deszczu.

Okres ten jednakże, jak wszystko piękne na świecie, minie. Nowe rynki będą zapełnione w mgnieniu oka i te właśnie kraje, które dziś tak hojny obiecują plon kapitałom krajów przemysłowych, staną się z kolei gwałtownymi ich współzawodnikami. Powtarza się więc stary obraz, nakreślony przez Engelsa: „Obieg — zatamowany, rynki są przepełnione, wytwory leżą nagromadzone i bez zbytu, pieniądze znikają, kredyt ustaje, fabryki świętują, masy pracujące uczuwają niedostatek produktów, ponieważ wytworzono ich zbyt dużo, bankructwo idzie za bankructwem, subhasta za subhastą. Lata całe trwa zastój, siły produkcyjne i produkty marnują się i niszczeją, dopóki nagromadzone towary, mniej lub więcej ubezwartościowione nie zostaną zepchnięte z większą lub mniejszą stratą, dopóki produkcya i zamiana nie nabiorą rozpędu. Wówczas bieg ciągle się przyśpiesza, przechodzi w kłus, kłus — w galop, a ten wzmaga się do nieokiełznanego „ventre à terre,“ do przemysłowego, handlowego, kredytowego i spekulacyjnego steeple-chase, ażeby w końcu po karkołomnych skokach zatrzymać się—w przepaści „krachu.“ I tak zawsze *ab novo*. Tym razem obraz zajść na rynku o tyle się różni od tego typu, że bieg odrazu zaczął się z szaloną szybkością i że być bardzo może potrwa dłużej, niż zwykle. Lecz przepaść, do której dąży, jest głębsza, upadek będzie gwałtowniejszy, a „krach“ straszliwszym. Dotąd bowiem grały tylko siły starej Europy, tym razem zanosi się na to, że cały świat nowy, Ameryka, Japonia i Chiny będą porwane przez wściekły wir kapitalistyczny, będzie to więc zmaganie się niebywałych sił ekonomicznych, walka, wobec której dotychczasowe były igraszką. W tej walce więc rozstrzygnie się, kto zajmie pierwsze miejsce: Anglia, czy Niemcy, czy też ktoś trzeci. Prorokować trudno, jednak, biorąc pod uwagę, że tylko Anglia dotąd mogła wywiczyć się w stawianiu czoła takim kataklizmom i zdołała ostać się w nich przedewszystkiem dzięki swej sile kredytowej, sądzić należy, że ona większe, niż jej współzawodnicy-nowicyusze, ma szanse zwycięstwa.

W każdym jednak razie Niemcy, pchnięte na drogę rozwoju kapitalistycznego, robią na niej szybkie postępy, o czem świadczą pomiędzy innemi następujące cyfry. Średnia wartość roczna wywozu i przywozu wynosi za czas od 1886—90 roku 6614,5 milionów marek, od 1890—94 7206,1 mil. mar. Taż sama cyfra za rok 1894 [1]) daje 6,854 i podnosi się w roku 1895 do 7,443 mil. marek, czyli o całe 12%. Flota handlowa Niemiec liczyła w roku 1871—147 statków parowych o 81,994 tonnach, w 1881 roku — 414 statków o 215,758 tonnach, a w roku 1893—986 statków o 786,397 tonnach. Postęp to olbrzymi.

Pytanie teraz, jakie odbyły się wobec tego postępu przewroty w budowie ekonomicznej tego kraju. Odpowiedź znajdujemy po części w spisie ludności według zawodu (Berufszählung), dokonanym 14 lipca, którego wyniki zaczęto obecnie ogłaszać [1]). Wprawdzie cyfry szczegółowe nie są jeszcze dostatecznie opracowane, jednakże ogólny obraz już teraz występuje dosadnie i śpieszymy zapoznać z nim czytelników.

Ostatniego spisu dokonano w roku 1882, zmiany więc w ugrupowaniu, jakie wykażemy, zaszły w przeciągu krótkiego stosunkowo czasu 13 lat. Ogólna liczba ludności w tym okresie wzrosła z 45,222,000 do 51,770,000, czyli prawie o 15%.

(D. n.)

J. B. M.

[1]) Obfitość ta nie ulega żadnej wątpliwości. Najlepszym dowodem łatwość, z jaką w ostatnim czasie rynki pieniężne wchłaniały nowe emisye wszelkich akcyj, zwłaszcza przedsiębiorstw przemysłowych i pożyczek państwowych, oraz konwersye. Wprawdzie zwolennicy bimetalizmu i agraryczycy przeczą temu gwałtownie, powołując się na podwyższenie dyskonta (w Anglii do 4½%, co jest stopą dotąd prawie niebywałą w ostatnich czasach, w Niemczech do 5%). Jednakże podwyżka ta nastąpiła przedewszystkiem wskutek zaburzenia, jakie wywołała agitacya bimetaliczna w Stanach Zjednoczonych, wobec której Bank angielski był narażony na ciągły odpływ złota do Ameryki, gdzie ludzie ostrożni, częstokroć tacy, co gardłowali za nowym prorokiem Bryanem, woleli zaopatrzyć się na wszelki wypadek w metal nienarażony na żadne burze. Z drugiej strony wszystkie banki traciły gotówkę wobec spekulacyi przemysłowej. Z chwilą bowiem, kiedy po długim upadku przemysł się ożywił, kiedy towarzystwa akcyjne zaczęły wypłacać znaczną dywidendę za r. 1895—96, rzucono się chciwie do nowych źródeł i jak zwykle przeholowano nawet w zapale. Wobec tego podwyższenie dyskonta nie usprawiedliwia naiwnej teoryi bimetalistów, że, jak wyraził się jeden z ich rzeczników, Bismarck, „złota kołdra staje się zbyt kusą,“ lecz świadczy o tem, że przesilenie minęło pomimo pogrzebu, jaki urządzono ich teoryi pieniężnej, a minęło bez ich lekarstw.

[1]) Rok największego osłabienia ekonomicznego.

[1]) Patrz: *Vierteljahrshefte zur Statistik des Deutschen Reiches.* Herausgegeben vom kaiserlichen statistischen Amt. Jahrgang, 1896. Ergänzungsheft.

W DALI.

Łódź. Tramwaje w Łodzi mogą być elektryczne lub poruszane siłą pary, czy też gazu. Konie zupełnie są wykluczone. Fabrykanci miejscowi, którzy otrzymali koncesyę, postanowili jako motoru użyć elektryczności z przewodnikiem napowietrznym. Wkrótce koncesyonaryusze przystępują do zawarcia umowy z miastem na budowę tramwajów elektrycznych i wniosą tytułem kaucyi 100,000 rs.

Mińsk. Ks. Jerzy Radziwiłł przyjął poddaństwo rosyjskie i otrzymał tytuł księcia na Nieświeżu. — *Gazeta Polska* podaje następujące szczegóły o losach i potrzebie budowy bardzo ważnej kolei żelaznej od miasta Słucka do stacyi Horodziej, kolei Moskiewsko-Brzeskiej. Ilość ładunku, wywożonego ze Słucka do najbliższych stacyi kolejowych, wynosi rocznie 30 milionów pudów, przywożonych zaś jest do Słucka pięć milionów pudów towaru. Od dwudziestu lat mieszkańcy tego miasta starali się o budowę linii u zarządu kolei Moskiewsko-Brzeskiej, który nawet opracował projekt połączenia Słucka ze stacyą Horodziej, odnogą długości 75 wiorst, lecz go w czyn nie wprowadził. W roku zeszłym pierwsze towarzystwo kolei podjazdowych rozpoczęło studya około budowy linii od Słucka do stacyi Nieborcło (kolei Moskiewsko-Brzeskiej), która miałaby 70 wiorst długości. Budowę wszakże znowu z niewiadomych przyczyn powstrzymano, a nie ma czego żałować, gdyż kolej ta miała być wąskotorowa, czyli nieodpowiadającą potrzebie istotnej Słucka. W roku bieżącym zarząd kolei Libawsko-Romeńskiej rozpoczął budowę odnogi od stacyi Osipowicze do stacyi szosowej Nowydwór, skąd do Słucka jest już tylko 40 wiorst. Mieszkańcy Słucka sądzili, że kolej Libawsko-Romeńska w swoim własnym interesie przedłuży odnogę do tego miasta, a stamtąd do Lachowicz lub Baranowicz kolei Poleskiej i w tej sprawie posłano prośbę zbiorową i w której ziemianie wzięli udział do ministeryum komunikacyi. Dotychczas nie ma odpowiedzi i Słuck jak dawniej jest bez komunikacyi i nie ma nadziei jej pozyskać, co wprost paraliżuje handel miejscowy, polegający na wywozie budulcu i materyałów surowych.

Wilno. Miasteczko Szczuczyn nawiedził pożar i zniszczył mienie najuboższych ludzi. Całe rodziny z drobną dziatwą, pozostawione na zimę bez dachu, pobudowały liche namioty lub też umieściły się w domach ks. Druckiego-Lubeckiego, dzierżawionych przez Żydów. Chociaż tam ciasno, duszno i niezdrowo, ale przynajmniej biedacy mieli jakie takie schronienie. Tymczasem — jak donoszą *Birż. Wied.* — właściciel kazał usunąć wszystkich dzierżawców, a z nimi i pogorzelców!..

Kijów. Miejscowy komitet giełdowy poczynił zabiegi o utworzenie instytutu politechnicznego w Kijowie. Starania te, złożone władzy właściwej, są już na dobrej drodze. Oto co *Now. Wr.* pisze: „Prośbę wobec rządu popierać będzie ra-

da miejska kijowska, która projektowała zaciągnięcie 300-tysięcznej pożyczki na zakład powyższy, cukrownicy więc powinni tylko przyjść z pomocą w sprawie wyraźnego dla nich samych pożytku, tj. setki fabryk cukru w okręgu kijowskim. Zebranie ogólne cukrowników odbędzie się w Kijowie w lutym r. b., nie wątpimy też, że na niem ujawni się szlachetne współzawodnictwo w składaniu ofiar na nowy wyższy zakład naukowy. Słyszeliśmy, że na tenże piękny cel ma być ustanowiona specyalna opłata w stosunku $^1/_{10}$ od dyskonta weksli cukrowniczych. Zresztą jedno drugiemu nie przeszkadza. Co do opozycyi względem projektu, która ujawniła się jakoby ze strony cukrowników z Królestwa Polskiego — życzą sobie bowiem założenia instytutu technologicznego w Warszawie — i ze strony charkowskich, posiadających już własny w Charkowie, to zupełnie temu nie dajemy wiary. Najpierw nie każdy chyba będzie miał odwagę wystąpić publicznie z taką opozycyą na zebraniu ogólnem cukrowników, choćby dlatego, że zebraniu znane jest aż nadto dobrze zapotrzebowanie techników wykształconych. A powtóre nawet sami cukrownicy kijowscy mogą zebrać niezbędną na instytut sumę. Dość przypomnieć sobie coroczne ich dochody, których tabelki nie omieszkamy przedstawić przed zebraniem lutowem, aby wykazać dowodnie, jak łatwo im będzie zapewnić byt wyższego zakładu naukowego w Kijowie."

Petersburg. Towarzystwo ochrony zdrowia publicznego święciło stuletni jubileusz szczepienia ospy. — Na porządek dzienny weszła sprawa utworzenia ogólno-państwowego kapitału ubezpieczeń, w celu przychodzenia z pomocą najbardziej poszkodowanym przez pożary.—P. minister spraw wewnętrznych na zasadzie art. 178 ust. cenz. i prasy zabronił sprzedaży pojedyńczych numerów gazety *Ruskija Wiedomosti*.—*Peterb. Wied.* zamieściły na mocy art. 138 ust. cenzuralnej zaprzeczenie wiadomości, podanej w korespondencyi z Warszawy o zabronieniu przez warszawski komitet cenzury przedruków z *Kraju* o zbliżeniu rosyjsko-polskiem.—W Petersburgu powstanie pierwsza rosyjska fabryka bielizny z papieru.

Witebsk. Zawiązało się w tem mieście Towarzystwo rolników miejscowych. W listopadzie odbyło się pierwsze zebranie ogólne członków stowarzyszenia, którego kapitał zakładowy wynosi 100.000 rs. Celem tego związku — jak piszą *St. Pet. Wied.* — jest pomoc wzajemna dla rolników i przemysłu wiejskiego, szczególnie w tych razach, gdy chodzi o nabycie przedmiotów potrzebnych, przerobienie produktów przemysłu rolnego, zniesienie kosztów wytwórczości i dogodny zbyt. Z powodu tego związku *Wilenskij Wiestnik* wypowiada następujące wnioski: „Stowarzyszenie oparte jest na udziałach. Z mocy art. 52 ustawy, członek, posiadający jeden udział, ma prawo głosu; liczba głosów członka, posiadającego trzy udziały, jest nieograniczoną. Taki stan rzeczy niepokoi nas nieco. Wobec niedużego względnie kapitału zakładowego, wobec rozdawania udziałów bez poprzednich zapisów, może z łatwością znaleźć się kapitalista, który pochwyci w swe ręce znaczną liczbę udziałów, a wówczas pozostali członkowie stowarzyszenia staną się maryonetkami monopolisty, który będzie kierował i rządził w stowarzyszeniu, stanowiącem podług ustawy instytucyę publiczną i użyteczności ogólnej. Zdaje nam się, że właściwiej byłoby określić liczbę głosów, którą może rozporządzać członek stowarzyszenia, a przynajmniej uchwalić liczbę udziałów, która daje prawo do dwu, trzech itd. głosów."—Ceny sprzedażne ziemi w gub. Witebskiej są znacznie niższe, niż w sąsiednich: Wileńskiej i Smoleńskiej. Średnia bowiem cena dziesięciny wynosi około rs. 40 kilku. Ciekawy jest ruch wahadłowy wartości ziemi w ciągu ostatnich lat 30. Od roku 1860 do 1880 w powiecie Rzeżyckim, Lucyńskim i Drysieńskim o najlepszej glebie, wynosiły one od rs. 10 do 60. W innych wahały się od rs. 3 do 30 za dziesięcinę. Od roku 1883 do 1893 w pierwszej grupie podniosły się od rs. 35 do 100, w drugiej od rs. 12 do 90. Ruch tranzakcyjny jest obecnie słaby.

PRASA ROSYJSKA.

St. Pet. Wiedomosti zamieszczają (w nr. 353) następujące zaprzeczenie:

„W nr. 301 gazety *St. Pet. Wied.*, w korespondencyi z kraju nadwiślańskiego, między innemi powiedziano: W ostatnich czasach w petersburskim *Kraju* pomieszczono kilka artykułów, w których wygłoszone zostało zdanie o konieczności radykalnej zmiany poglądów na stosunki polsko-rosyjskie. Wiem na pewno, iż jedno z warszawskich pism peryodycznych pragnęło przedrukować te artykuły, ale cenzura miejscowa sprzeciwiła się temu, nie wyjaśniając w tej mierze przyczyn.

Wiadomość ta jest nieprawdziwa, ponieważ polskie wydawnictwa peryodyczne cenzurują się na tych samych zasadach, co i wszystkie pisma i dzienniki wychodzące w Cesarstwie w innych językach — i rozporządzenia, dotyczącego zakazu wydanego do miejscowych wydawnictw polskich, aby nie poruszały jakichkolwiek politycznych albo społecznych kwestyj — a w tym razie, aby nie przedrukowywały artykułów *Kraju* — cenzura nie wydała. Jednocześnie w praktyce warszawskiego komitetu cenzury nie było nawet pojedyńczych wypadków zakazywania przedruków artykułów z powyższego wydawnictwa. Jeżeli zaś takie artykuły powtarzają warszawskie gazety nader rzadko, to fakt ten wytłómaczyć można tą okolicznością, iż pisma miejscowe wogóle nie okazują chęci przedrukowywania artykułów *Kraju*: jedne z nich — wskutek zupełnej niezgody z jego poglądami, inne — poprostu dlatego, iż nie chcą popularyzować wychodzącej w Petersburgu gazety polskiej."

Now. Wrem. w korespondencyi z Warszawy pisze:

„Pomimo choroby hr. Szuwałowa, która wzięła taki obrót, że zmuszony on był opuścić stanowisko generał-gubernatora warszawskiego, tutejsza maszyna administracyjna nie przestawała pracować gorliwie w ciągu całego tego czasu. Chwila obecna jest nader ważną dla kraju, teraz bowiem przystąpiono właśnie, po części do wykonania, po części do opracowania szeregu projektów, postawionych w ostatnich latach na porządku dziennym. W ich liczbie znajduje się projekt utworzenia gubernii Chełmskiej. Projekt ten, jak wiadomo, powstał już dawno. Naturalnie wyłączenie z gub. Siedleckiej i Lubelskiej powiatów z ludnością rosyjską byłoby bardzo pożądane, tą drogą bowiem łatwiejby było osłonić włościaństwo rosyjskie tych gubernij przed wpływami polonizmu i latynizmu. Jak mówią, projekt utworzenia gub. chełmskiej wysłany będzie z Warszawy do Petersburga przed nowym rokiem. Obecna gubernia Siedlecka byłaby zniesiona, a powiaty jej z ludnością polską (mazurską) przyłączonoby do gub. Lubelskiej, z rosyjskich zaś powiatów gub. Lubelskiej i Siedleckiej utworzonoby nową gubernię Chełmską. Kwestya wyłączenia nowej gubernii ze składu kraju nadwiślańskiego, jak dotąd, nie była brana pod uwagę."

Taż sama gazeta donosi w korespondencyi z Warszawy o zamiarze zniesienia celibatu duchowieństwa katolickiego i pozyskania w ten sposób jego sympatyi dla Rosyi. *Graźdanin* myśl tę wyśmiewa i uważa za niedorzeczną.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Oprócz wymienionych poprzednio ofiar (między któremi opuszczono rs. 27 od B. Olszamowskiego, adwokata z Petersburga) złożyli w redakcyi naszej dla pogorzelców Wielgolasu: dr. S. Goldflam rs. 3, J. Natanson rs. 25, dr. O. Bujwid rs. 15, L. Méyet rs. 10, E. Wyszomirski rs. 2, J. Skowroński z Birska rs. 5.—Nadto dla Biegasa nadesłał J. Skowroński rs. 5, a na wpisy dla uczniów S. Altdorfer z Odesy rs. 40.

— Wdowa po Hirschu ofiarowała dwa miliony franków na rzecz instytutu Pasteura.

— Skutkiem pożarów, wzniecanych przez wyrostków, palących papierosy, sołtysi w niektórych miejscowościach rozciągnęli dozór nad młodzieżą wiejską. Nieletni, schwytani na uczynku palenia papierosów po za obrębem domów mieszkalnych, będą pociągani do odpowiedzialności sądowej.

— Dzienniki donoszą, iż ministerya skarbu i spraw wewnętrznych wyraziły zgodę na zniesienie podatku „procentowego," pobieranego od pewnej kategoryi właścicieli ziemskich w kraju północno i południowo-zachodnim. W ostatnim bilansie państwa dochód roczny z tego źródła określono w sumie 1,200,000 rs. Projekt skasowania owej opłaty w tych dniach wniesiony będzie do ostatecznego zatwierdzenia.

— Posterunki straży pogranicznej z rozporządzenia ministeryum skarbu ustanowiono na stacyach pośrednich kolei Warszawsko-Petersburskiej pomiędzy Warszawą a Wilnem.

— Na zgromadzeniu rzemieślników warszawskich postanowiono z funduszu specyalnego, wynoszącego obecnie 12,000 rs., tudzież z ofiar dobrowolnych majstrów zamożniejszych, wznieść lub nabyć dom dochodowy, w którym możnaby było pomieścić salę cechową, szkołę dla terminatorów, bibliotekę, gospodę dla przyjezdnych lub pozostających bez zajęcia, a w oficynach przytułki dla podupadłych i zestarzałych majstrów i czeladników.

— Ze Sztokholmu donoszą, iż zmarły Nobel testamentem przekazał 35 milionów na fundacyę, z której procenty mają być używane na popieranie odkryć i wynalazków w zakresie fizyki, chemii, fizyologii, medycyny i literatury, tudzież na nagrody za popieranie sprawy pokoju.

— D. 3 b. m. w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa urządzono bazar spożywczo - gospodarczy na rzecz szwalni 3-ej przy ul. Chmielnej.

Z uniwersytetu. Na 43 studentów, którym wydział medyczny uniwersytetu warszawskiego przyznał stopień lekarza, 10 otrzymało dyplom z odznaczeniem (*cum eximia laude*). Jest to bardzo wymowny dowód uzdolnień i pracy.

Z prasy. Redaktorem *Kuryera Warszawskiego* został p. F. Nowodworski, adwokat.

Szkoły. W ryskiej szkole politechnicznej od 1-go stycznia r. b. skasowano zwyczaj przyjmowania studentów na semestr drugi.

— *Now. Wr.* pisze: „Z liczby spraw, przeznaczonych po rozpatrzenia rady państwa, na porządek dzienny wejdzie projekt ministeryum oświaty, dotyczący udzielania rocznie 250,000 rs. na potrzeby oświaty ludowej. Wiadomość ta niewątpliwie uraduje wielu, szkoda tylko, że suma żądana przez ministeryum oświaty jest tak nieznaczna. Gdy 250,000 rs. podzielimy, chociażby tylko pomiędzy gubernie, posiadające ziemstwo, to na każdą z nich przypadnie nie więcej nad 6,000 rs., a na powiat nie więcej nad 500 rs. Wobec tak skromnych funduszów nie można przewidywać poważniejszych rezultatów w sferze oświaty ludowej. Zdaje nam się, że w skarbie państwa znalazłoby się i 2,500,000 rs.; niech tylko ministeryum opracuje ściśle określony plan rozwoju szkół ludowych, stojących pod jego zarządem" (według przekładu *Słowa*).

— Dwuklasowa szkoła żeńska przy zakładzie rękodzielniczym hr. Cecylii Zyberk - Platerówny w Warszawie, od września r. b. będzie przekształconą na czteroklasową, według programu szkół miejskich.

Ustawy sądowe. Komisya do rewizyi ustaw sądowych jednomyślnie oświadczyła się za zastosowaniem sądu z udziałem przedstawicieli stanów w Izbach. Dla spraw, należących obecnie do kompetencyi Izb sądowych z udziałem przedstawicieli stanów, postanowiono utworzyć specyalną formę sądu przysięgłych, wybieranych z kategoryi osób z wyższym cenzusem naukowym i majątkowym. Specyalni przysięgli w liczbie 9 połączą się z 3 sędziami koronnymi w jedno kolegium, które decydować będzie o winie, oraz karze dla podsądnego. Oprócz tego rozważono projekt przekształcenia adwokatury. Najważniejsze zmiany polegają na następującem: 1) rady adwokackie urządzone będą wszędzie; 2) prokuratorowie Izb będą mieli prawo protestu wobec postanowień rad co do przyjęcia nowych członków do korporacyi adwokatów, zarówno z powodów formalnych, jak i nieformalnych. Rozstrzyganie tych protestów należeć będzie do Izb sądowych (*Birż. Wied.*).

Koleje i komunikacye. W ministeryum komunikacyi złożono prośbę o koncesyę na budowę kolei z Warszawy do Radomia przez Grójec i Białobrzegi. Studya przygotowawcze zaczną się na wiosnę. (*Birż. Wied.*).

— Budowa kolei przez góry Kaukaskie jest już postanowiona. Roboty rozpoczną się po ukończeniu kolei Syberyjskiej.

Wystawy i zjazdy. Termin otwarcia wystawy pracy kobiet w Warszawie oznaczono na 1 października.

— Jak zapewnia *Lucz*, wkrótce w Petersburgu i Warszawie mają być zwołane zjazdy hodowców ryb. Między innemi roztrząsane będą środki zarybienia rzek i jezior.

Zdrowie publiczne. Zatwierdzono ustawę Towarzystwa niesienia szybkiej pomocy chorym w Warszawie za pośrednictwem stacyj ratunkowych.

Konkursy. Na konkurs powieściowy *Kuryera Codziennego* nadesłano 64 powieści.

— D. 1 stycznia upłynął termin konkursu na pieśń (kwartet męzki). Nadesłano 17 kompozycyj.

Przemysł i handel. *Gazeta Kielecka* zwraca uwagę, że r. 1896 był pomyślny dla rzemieślników w Kielcach.

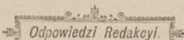
— Według doniesienia *Kuryera Warsz.*, fabrykanci tutejsi zakupują znaczne przestrzenie gruntów w okolicach Żytomierza, w celu eksploatowania granitu, który pod względem twardości i połysku podobno nie ustępuje finlandzkiemu.

— Według źródeł urzędowych, Królestwo Polskie liczy 274 fabryk z roczną produkcyą 229,485,000 rs. i 153,000 robotników obojej płci.

— Rolnicy Królestwa Polskiego będą mogli korzystać z funduszu melioracyjnego. W r. 1896 z ogólnej sumy 500,000 rs przypada na nich 50,000 rs., w roku zaś bieżącym z miliona przypada na naszych ziemian 100,000 rs.

Wypadki. Z Aczyńska donoszą, iż na kolei Syberyjskiej rozbił się pociąg gospodarczy między stacyami Kacza i Jełówka. Parowóz i kilka wagonów spadło z wysokiego nasypu. Nie wiadomo jeszcze, czy są ofiary w ludziach.

— Z New-Yorku donoszą, iż naładowany bronią i amunicyą parowiec „Commodore,“ który za pozwoleniem rządu amerykańskiego odpłynął do Kuby, w celu pomocy powstańcom, zatonął u wybrzeża Florydy. Zginęło 16 osób.



Panu I. B. H. Zamieścimy, chociaż w wielu punktach nie zgadzamy się na wywody Pańskie.

Panu A. G. w Odesie. Zaczął wychodzić miesięcznik p. t. „Pszczelarz i ogrodnik.“ Cena: w Warszawie rs. 3, z przesyłką pocztową rs. 4.

Redaktor i wydawca dr. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 27 Декабря 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.